

Opowieść przedborza



Lista laureatów V Wojewódzkiego Konkursu Literackiego *Pod ojczystym niebem*

I nagroda

Magdalena Klinkosz kl. I Gimnazjum Sportowe nr 46 Gdańsk

II nagroda

Mateusz Denysiuk kl. III Szkoła Podstawowa nr 2 Gdańsk

Julia Kuszner kl. IV Szkoła Podstawowa nr 70 Gdańsk

Weronika Adamowicz kl. V Szkoła Podstawowa nr 14 Gdańsk

Oliwia Orlikowska kl. V Publiczna Szkoła Podstawowa nr 4 Starogard Gdański

Aleksandra Pastwa kl. III Gimnazjum nr 31 Gdańsk

III nagroda

Alicja Scharmach kl. III Szkoła Podstawowa nr 8 Gdańsk

Aleksandra Wnuk-Lipińska kl. III Szkoła Podstawowa Konarzyny

Jakub Miczek kl. IV Publiczna Szkoła Podstawowa nr 4 Starogard Gdański

Dominik Walczak kl. V Publiczna Szkoła Podstawowa nr 4 Starogard Gdański

Daria Rosłonec kl. VI Szkoła Podstawowa Mosty

Barbara Rosochacka kl. I Gimnazjum Sportowe nr 46 Gdańsk

Martyna Miłogrodzka kl. II Gimnazjum Sportowe nr 46 Gdańsk

Natalia Niedzielska kl. III Gimnazjum nr 31 Gdańsk

Aleksandra Stybor kl. III Gimnazjum Sportowe nr 46 Gdańsk

Wyróżnienie

Michał Tuński kl. I Szkoła Podstawowa nr 14 Gdańsk

Paweł Grott kl. III Szkoła Podstawowa nr 8 Gdańsk

Paulina Mojsa kl. III Szkoła Podstawowa nr 2 Gdańsk

Julia Pietrzak kl. III Szkoła Podstawowa nr 2 Gdańsk

Karolina Pietrzak kl. III Szkoła Podstawowa nr 8 Malbork

Mateusz Tomczyk kl. III Szkoła Podstawowa nr 2 Gdańsk

Julia Sykus kl. IV Szkoła Podstawowa nr 8 Gdańsk

Natalia Dulewicz kl. V Szkoła Podstawowa nr 14 Gdańsk

Amelia Pikul kl. VI Szkoła Podstawowa nr 6 Kwidzyn

Dominika Wójcik kl. VI Szkoła Podstawowa Konarzyny

Natalia Krefta kl. II Publiczne Gimnazjum Nowa Karczma

Urszula Muraszko-Kuźma kl. III Gimnazjum nr 16 Gdańsk

Sebastian Pieper kl. III Gimnazjum Jastarnia

Nagrody dodatkowe przedstawicieli Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej

Koło Gdańsk – Wrzeszcz

Agata Drost Gim 16 Gdańsk

Jakub Florkowski Gim Sztutowo

Magdalena Klinkosz Gim Sport 46 Gdańsk

Natalia Krefta Pub Gim Nowa Karczma

Martyna Miłogrodzka Gim Sport 46 Gdańsk

Aleksandra Pastwa Gim 31 Gdańsk

Sebastian Pieper Gim Jastarnia

Barbara Rosochacka Gim Sport 46 Gdańsk

Natalia Wysocka Gim Konarzyny

Koło Gdańsk – Oliwa

Piotr Bayer SP Konarzyny

Mateusz Denysiuk S P 2 Gdańsk

Jakub Miczek PSP 4 Starogard Gdański

Martyna Miłogrodzka Gim Sport 46 Gdańsk

Martyna Mucharska SP 8 Gdańsk

Aleksandra Pastwa Gim 31 Gdańsk

Karolina Pietrzak SP 8 Malbork

Barbara Rosochacka Gim Sport 46 Gdańsk

Aleksandra Wnuk –Lipińska SP Konarzyny

Kacper Wysocki Gim Konarzyny

Nagrody - poezja

Widok z lasu na Oliwę

Czerwone dachy miejskiej polany
Wiją się wstęgą na tle morza
Las otwiera oliwskie bramy
Snując opowieść przedborza

Płaszcz kamienic szare w blasku
Łuną czerwieni skryte w tajnieniu
Latarnik zapala stare latarnie
patyk o draskę trąc w zapomnieniu

Pajęczyn mgły na poły skruszone
Zwisają w oknie słonymi kroplami
A las w milczącym szumie zdziwiony
Szepce trzy po trzy ponad dachami

Magdalena Klinkosz kl. I gim

Las to ja

Wtul się w las.
Daj mu się objąć ramionami drzew.
Otul się ciszą szumiących konarów.
Uchwyc melodię szemrzącego potoku.
Poczuj powiew ptasich skrzydeł.
Dotknij rozstrzelanych słońcem promieni.
Uśmiechnij się do zatrwożonego lisa.
Stań się jednością.

Oliwia Orlikowska kl.5

Cisza

Jestem jak cisza
Jak nowy poranek
I zachód słońca
Na końcu dnia

Cisza to taka chwila
Chwili sekunda
Sekunda chwili
Gdy tak cicho śpię wieczorem
A za dnia cicho się budzę

Jest taka cisza cicha i słaba
Jest taki człowiek cichy i słaby
Tak cichy jest człowiek smutny i obolały,
Że aż świat cały cicho patrzy...

Weronika Adamowicz kl.5

Jesień

Lato odchodzi wraz z wakacjami
Z kolorowymi liśćmi, deszczem i wiatrami
Nadciąga jesień.

Jeszcze wszystko się zieleni,
Jeszcze słońce grzeje,
Ale buk i klon pyszni się
I czerwienieje.

Gruszki i jabłka w sadach dojrzewają,
Na komodach ludziki
Z kasztanów się chowają.
Bukiety z liści szeleszczą w dzbanach.

Herbatką malinową wita nas jesień
piękna i bogata.
I plackiem śliwkowym tak pysznym,
Że nie szkoda już lata.

Mateusz Denysiuk kl.3

Jesienne liście

Jesienne drzewa,
kolorowe na nich liście.
Ptak na gałęzi śpiewa,
a liście lśnią złociście.

Liście tańczą walca,
leczą jak grad kasztany,
zapraszają nas do tańca
szeleszczące dywany.

Aleksandra Wnuk – Lipińska kl.3

Miłość

Czeka na kogoś,
Kto rozdmucha wątyły płomyk
I rozpali świeczkę
Trzymaną w dłoni.

Inni zapalą swoje,
Połączą je,
Aż rozżarzy się wielki ogień.

Jasność oślepi blaskiem wszelkie zło,
Bo miłość jest ponad wszystko.

Julia Kuszner kl.4

Czego potrzeba...?

Czego oczom potrzeba?
Zieleni łąk, błękitu nieba.
Czego uszom potrzeba?
Śpiewu ptaków, szumu drzewa.
Czego ustom potrzeba/
Słodocy kawy, smaku chleba.
Czego dłoniom potrzeba/
Ciepła, które zima je ogrzewa.

Czego sercu potrzeba?
Miłości szalonej, co pieśnią rozbrzmiewa.
Czego człowiekowi potrzeba?
Pełni księżyc, słońca, co ziemię ogrzewa.
A czego duszy potrzeba?
Chwil takich, gdy o szczęściu śpiewa.

Daria Rosłonec kl.6

Wyróżnienia - poezja

Pod moim niebem

Pod
Ojczystym
Dachem nieba

Mowy ucę się polskiej,
Odkrywam nowe drogi
I badam grunt pod nogami.
Możliwości jest tak wiele...

Nawet gdy popełnię błędy
I przyjdzie mi zacząć od nowa,
Energii mi nie zabraknie.
Będę wytrwale dążyć do celu,
Euforycznie stanę na szczycie.
Mam na to całe życie...

Amelia Pikul kl.6

Muszelka

Dziś znalazłem muszelkę nad morzem
Błyszczącą jak kryształ górski
muszelka piękna i biała
Jak kryształ górski błyszcząca cała

Michał Tuński kl.1

Jantar

Leżałeś miliony lat.
W końcu wyszedłeś na świat,
Jantarku...
Jesteś piękny jak motyl,
Który wykluwa się z kokonu,
Jantarku...
Świecisz w blasku słońca
I tak będzie już do końca,
Jantarku...
Malutka stokrotka utopiona
W bursztynie...
Malutka mróweczka ukryta w bursztynie...
(...) Ich uroda nigdy nie minie.

Natalia Dulewicz kl.5

Jesień

Jesień złota i kolorowa
puka do mych drzwi.
Bociany już odlatują,
niedźwiedź prawie śpi.

Liście spadają
na chodniki i drogę,
skakać po nich
w kaloszach mogę.

Goni mnie zimny deszcz,
a ja uciekam
i aż się ociepli,
czekam.

Paulina Mojsa kl.3

Jesień

Liście opadły na ziemię
I każde drzewo już drzemie.

Wieje jesienny wiaterek,
Ubrał wełniany sweterek.

Z drzew spadają złote liście,
Bo już jesień oczywiście.

Chmury rozsiewają deszcze,
Z parasolką chodzą świerszcze.

Julia Pietrzak kl.3

Wiersz do Babci

Babciu ma, czy to Ty?
Myślisz, że odeszłaś stąd?
Nie! W moim sercu
Jesteś wciąż.
(...)
Tyle pytań bym zadała,
Tyle słów bym powiedziała.
Tak bardzo bym Cię ukochała,
Sms- a bym wysłała.

Tak bardzo spotkać
bym się chciała,
Lecz nie teraz ,
Bo jestem jeszcze, za mała.

Karolina Pietrzak kl.3

Przyjaźń

Siedzę i milczę, rozmyślam o niczym.
Pusta przestrzeń wokół kamienna i ciężka.
Samotność tam gdzie szczęście niegdyś,
Rozpacz króluje nad śmiechem.
Ból rządzi radością.
Wszystko zakryte uśmiechem ? (...)
Jest tylko jedna osoba wiedząca,
Co dzieje się w tej usterce.
Przyjacieli. Jak lek na problemy.
Jak słońce w pochmurny dzień.
Niczym rzeka na pustyni głęboka.
Jak ostoja na morzu.
Otwieram się jak księga i mówię,
Co na duszy mi leży. I dziękuję...
Dziękuję, że mam towarzysza w mroku dni.
Dziękuję, że mam kompana na dręczącą niedolę.
Za to, że mam anioła skrzydlatego,
(...)

Natalia Krefta kl. II gim

Przyjaciel

Ktoś na kogo liczyć mogę.
Ktoś niezastąpiony,
ktoś komu chętnie pomogę.

Ktoś z kim mogę iść do kina.
Ktoś sympatyczny,
ktoś - niekoniecznie dziewczyna.

Ktoś przy kim jestem marzycielem.
Ktoś magiczny...
To ktoś, kto jest moim przyjacielem!

Dominika Wójcik kl. 6

Nagrody dodatkowe - poezja

Wspomnienia

Kochasz mnie?

Tak!

To z tobą przeżyłem najpiękniejsze chwile.

Kiedy patrzę w twoje oczy,
to przypomina mi się wszystko:
jak chodziliśmy na wagary,
jak się o ciebie biłem,
jak z tobą oranżadę piłem,
nawet jak za ciebie karę dostałem.

Ale nie żałuję,
choć cię tu nie ma,
a mi pozostały wspomnienia...

Piotr Bayer kl.6

Miłość

Nie wiem jak wyrazić, co w sercu mam.
Nieśmiała, wrażliwa zamieniam się w lwa.
Chcę walczyć o ciebie do końca swych dni.
Nie myśleć, że wszystko to ciągle się śni.
Chcę kochać miłością czystą jak łąka.
Bardzo cię kocham – to nie jest gra.

Kiedy nie ma w nas miłości,
to sercu czegoś brak.
To jest tak
jakby w niewielkiej doniczce
usychał piękny kwiat.

Natalia Wysocka kl. III Gim

Szczęście

Idę po szczęście swoje
ale którądy? Do kogo?
Idę jak ślepiec zwyczajnie przed siebie.
Wiem, że zawsze pójdę tą drogą,
bo wszystkie prowadzą do ciebie.
(...)

Kacper Wysocki kl. I gim

Pułapka

Widziałeś kiedyś w lesie biedronkę lub żabkę
lecz nie taką prawdziwą, tylko nadrukowaną na siatkę?
Te reklamówki nie są potrzebne w lesie
sarna zakupów w nich nie przyniesie!

Szeleści, świeci i pachnie ładnie
łasicą z chęcią się do niej zakradnie.
A w siatce wcale nie siedzi żabka,
ta siatka to tylko wstrętne pułapka.

Zapachem kusi, lecz źle smakuje.
Zwierzę się w nią zaplącze lub nią zatruje.
Guma do żucia, kapsle, metale i sznurki
zainteresuje faunę niczym grzybiarza kurki.

Więc jeśli nie chcesz mieć śmierci zwierząt na sumieniu -
Przyjacielu, pamiętaj!!!
Nie wyrzucaj w lesie tych odpadów -
- tylko je odpowiednio segreguj!

Martyna Mucharska kl. 5

Nagrody - proza

Już zawsze razem

W pewnym miasteczku, nad jeziorem, mieszkała mała dziewczynka ze swoją babcią. Miała zaledwie roczek, kiedy w strasliwym pożarze zginęli jej rodzice. Niestety, niczego nie pamiętała... Babcia strzegła jej, nie wypuszczała dalej niż do końca ogrodu. Myślała, że każdy mieszka z babcią, nie słyszała nigdy o kimś takim jak rodzice.

Ze swego okna widziała dwa domki. Obserwowała mieszkające tam dziewczynki i ich rodziny. Babcia niechętnie opowiadała o tym co się stało, chociaż Agnieszka, bo tak miała na imię dziewczynka, często o to pytała. Nie rozumiała, dlaczego staruszka tak jej pilnuje.

Pewnego dnia, gdy babcia była czymś zajęta, Agnieszka wymknęła się przez okno. Wybiegła na środek podwórka. Tam bawiły się dwie dziewczynki. Dzieci szybko zapoznały się. – Marta. – A ja jestem Daria. Chodź, poznasz naszych rodziców. – Ale kto to taki? – spytała Agnieszka. – Nie wiesz?! – Nie! A powinnam? – tak przejęła się tym co usłyszała, że zaczęła coś sobie przypominać. Ujrzała dwójkę młodych ludzi, zapłakanych i biegających w środku gorących płomieni. Czują tamten duszący zapach. Słyszała, chyba swój, płacz. Kobieta chwyciła ją szybko i podała jakiejś nieznannej staruszce. Sami wrócili w ogień, ratować co się da. Więcej ich nie widziała.

Ale... to oznaczało, że miała rodziców, tak! Przecież to jasne, to musieli być jej rodzice! Tak samo jak Daria i Marta, ona też miała rodziców. To kim jest staruszka, która się nią opiekuje? To na pewno nie mogła być jej babcia... To kto?!

Zrobiło się już ciemno, a Agnieszka nie miała odwagi wrócić do domu. W pewnej chwili usłyszała cichutki głos: - Odpocznij tutaj, a rano wyrusz w drogę. Staruszka tylko udaje twoją babcią, a tak naprawdę to jest samotna wiedźma. Wywołała pożar, żeby cię mieć na zawsze przy sobie. Twoi rodzice żyją, śpią, uwięzieni na górze szklanej kuli.

Agnieszka posłuchała cichutkiego głosu. Rankiem, razem ze swoimi nowymi koleżankami, wyruszyła na ratunek rodzicom. Wędrowały przez góry i lasy, aż ujrzały ogromną szklaną kulę. Już biegły, już były tak blisko, a tu przed nimi wyrósł wielki troll. Strzegł pewnie przejścia, ale dziewczynki, na paluszkach, przebiegły pod jego nogami. Agnieszka dotknęła szklanej kuli i z jej szczytu wyskoczyli rodzice.

Od tej chwili już nigdy się nie rozstawali i żyli długo i szczęśliwie.

Alicja Scharmach kl.3

Chwila

Jedna chwila. Tak mało i tak dużo jednocześnie. Podobno niewiele może się zdarzyć, a jednak niekoniecznie. W jednej chwili czasami tak wiele się dzieje. Szczególnie na leśnej polanie.

Wysokie drzewo zaszumiło zielonymi listkami i ucieszyło tym słońce, które z radości mocniej rozgrzało promienie wpadające poprzez konary. Przykryły malinę, która w słonecznym blasku zarumieniła się i wyciągnęła ku niemu swoją owocową twarzyczkę. Rosnący pod nią kwiat otworzył różowy kielich i odstonił puchaty środek. Zaprosił żółtą pszczołę, aby usiadła na nim i wykąpie się w nektarowym pyłku. Zaszumiło i zapachniało tak mocno, że przechodzący obok jeź podniósł kolce i poruszył śmiesznym noskiem. Na małą chwilę zatrzymał się też lis, który pomiędzy zielonymi jeszcze krzaczkami jagód gonił mysz. Ta wykorzystała tę jego chwilę nieuwagi i wskoczyła do norki pod kwiatkiem. Poruszyła przy tym trawę, aż zatrząsł się na niej pająk i nie zaczepił już tak dokładnie nici swojej pajęczyny. Zaszemrał ze złości i zbudził śpiącą w zaroślach muchę. Ujrzała go i szybko otworzyła skrzydła do lotu, oddalając się od niebezpiecznej pułapki. Wraz z nią poderwał się z gałęzi ptak, ponieważ pisklak w gnieździe otworzył pyszczek i chciał jeść. Zaszumiło i trawa ugięła się pod wpływem wiatru. Gdzieś niedaleko dzieciąt zapukał w korę drzewa, aż zaniepokojona wiewiórka wyjrzała z dziupli i trwożliwie rozejrzała się wokoło. Zobaczyła tylko ślimaka, który leniwie przesunął się na koniec grzybowego kapelusza. Spadła z niego kropla rosy.

Na polanie w głębi lasu przez jedną chwilę zadziało się tak wiele.... A może nic się nie stało. Któż to wie?

Jakub Miczek kl.4

Historia starogardzkiej baszty

Dawno, dawno temu, kiedy to jeszcze Starogard Gdański nie miał tylu mieszkańców i był niewielką osadą, działy się w nim rzeczy niewiarygodne. Pieczę nad grodem sprawował książę Jan, który był władcą mądrym i dobrym dla swych poddanych. Nic więc dziwnego, że wszyscy go uwielbiali. Było tak jednak do pewnego czasu.

Otóż Jan miał młodszego brata. Nosił on imię Marek. Chłopak rósł pod jego okiem i stawał się rozsądnym mężczyzną. Uczył się pilnie od dworskich mędrców i studiował dostępne mu księgi. Posiadał ogromną wiedzę i czynił z niej użytek. Potrafi doradzić rolnikom w doborze upraw czy kupcom w wyborze towarów. Czasami za pomocą ziół leczył tajemnicze choroby. Starogardzianie coraz częściej pytali go o radę i spędzali czas na rozmowach z nim. Darzyli go większym zaufaniem niż księcia Jana. Ten zaś stał się zazdrosny o swojego brata i czuł, że może odebrać mu władzę. Postanowił pozbyć się intruza i obmyślił bardzo sprytny plan.

Przygotował wspaniałą ucztę w starogardzkiej baszcie i zaprosił na nią swojego brata. Biesiadowali bardzo długo, wspominając dziecięce lata i rodziców. Gdy zapadła noc, książę Marek postanowił wracać do domu, ale troskliwy brat zaproponował mu nocleg. Znużony Marek nie zauważył nawet, że brat prowadzi go do małej celi w najdalszym kącie basztowej piwnicy. Szybko zamknął za nim drzwi celi i uwięził go na zawsze. Ludzie szukali Marka, ale wszelki śluch po nim zaginął. Opłakali zatem jego odejście, jednak każdy zatrzymał w sercu nadzieję na to, że ich ukochany Marek do nich wróci. Książę Jan stał się człowiekiem zgorzkniałym i zamkniętym w sobie. Jego poddani zastanawiali się dlaczego przestał z nimi rozmawiać i ciężko było im się pogodzić z tym, że polubił samotność.(...). Widzieli też, jak wieczorami przemyka pod murami miasta w kierunku zamkniętej na trzy spusty baszty, z której o różnych porach dnia i nocy wydobywały się przerażające wrzaski i jęki. Były one tak straszne, że nikt nie odważył się do nich podejść, a ludzie omijali basztę z daleka.

Pewnego dnia książę Jan po zapadnięciu zmroku po raz kolejny zmierzał ku baszcie. Słońce chyliło się ku zachodowi i powoli chowało się w wodach płynącej obok Wierzycy. Widok był tak piękny, że Jan mimowolnie zatrzymał się i wpatrzył się w jego odbicie w wodzie. Nagle fale rzeki zmieniły piękne czerwone słońce w oblicze cierpiącego w niewoli księcia Marka. Stojący na brzegu Jan najpierw wpatrywał się w nie jak urzeczony, potem jednak zaczął przeraźliwie krzyżeć, złapał się za głowę i padł nieżywy na trawę.

Dokonał także żywota zamknięty w lochu Marek. Do dzisiejszego dnia uważni ludzie słyszą dobiegające ze starogardzkiej baszty jęki. Nie wiadomo jednak, który z braci się skarży. Może to płacze nad swym nieszczęśliwym losem skrzywdzony okrutnie Marek? Może jednak lamentuje pokutujący za haniebnny czyn Jan? Tego nikt nie wie. Kiedy będziesz jednak przechodzić obok baszty, zatrzymaj się i posłuchaj. Może i ty usłyszysz któregoś z książąt?

Dominik Walczak kl.5

Wojny i Anioły

Zdecydowanie zanosilo się na burzę. Potężne, ciemnogrnatowe chmury wisały nad lasem. Nie było mowy, byśmy zdążyli uciec przed zbliżającą się ulewą.

– August? August! Co z tobą? Od rana zachowujesz się jakoś inaczej. Wszystko w porządku?

John był dobrym przyjacielem, młodszym ode mnie prawie dziesięć lat. Jako człowiek zawsze uśmiechnięty i zadowolony ze wszystkiego roztaczał wokół siebie aurę szczęścia i spokoju. Był przy tym straszną gadułą. Ale tego dnia nawet towarzystwo tej oazy szczęścia nie pozwalało mi wyzbyć się dręczącego mnie uczucia niepokoju i przygnębienia. (...) Już od dłuższego czasu czułem, że wszystko idzie nie w tym kierunku, w którym powinno.

Po pierwsze, od tygodnia nie służyłem już na froncie, ale byłem dostawcą zaopatrzenia dla wojsk stacjonujących nad Jeziorem Czernichowskim. Wszystko przez rany, które odniosłem, gdy napatoczyliśmy się z kolegami na grupę pijanych Polaków. (...) Podobny los spotkał Johna, tyle że on, gdy dojedziemy do oddziału, miał zostać z żołnierzami, a ja miałem wracać po nowe rozkazy do Eberswaldu. (...)

Po drugie, już prawie od dwóch miesięcy nie miałem kontaktu z Aleksandrą – daleką kuzynką z Krakowa, jedyną osobą z mojej polskiej rodziny, która chciała jeszcze ze mną rozmawiać po tym, jak wcielono mnie do niemieckiego wojska. (...) Dlaczego? Po części winne było temu moje nazwisko. W e n d t – zbyt oczywiste... w mojej rodzinie dominowały niemieckie korzenie(...) W kraju ogarniętym wojną zostałem (...) kompletnie sam. A teraz nie miałem też żadnych wieści od Aleksandry.

Z rozmyślań wyrwał mnie mruknięcie Johna. Początkowo myślałem, iż jest na mnie zły za to, że się nie odzywam. Jednak dopiero po chwili zrozumiałem prawdziwą przyczynę jego niezadowolenia. Zaczęło padać, burza była coraz bliżej. Zirytowany zacząłem szukać rozwiązania. Konie musiały jak najszybciej odpocząć, John też już padał z nóg, a mnie nie uśmiechało się jechać dalej w deszczu. Tylko co zrobić, co zrobić...

Wyjechaliśmy z zagajnika i naszym oczom ukazało się olbrzymie pole. Nie było zagospodarowane, służyło więc zapewne jako pastwisko dla zwierząt. Hm... Gdybyśmy przez nie przejechali, zyskalibyśmy mnóstwo czasu i kto wie, może udałoby się nawet uciec przed deszczem. Zadowolony wskazałem ręką na pastwisko i spytałem:

– Co o tym sądzisz?

John ściągnął brwi, zatrzymał konie.

– Nie wiem, ale trochę to niebezpieczne. Nie znamy terenu, a i nie mamy pewności, czy ktoś się aby za tą łąką nie czai.

Zaśmiałem się, by ukryć irytację.

– John, tchórz. Zaraz rozpęta się tu piekło, konie są głodne, a ta łąka wygląda dość... No, w każdym razie normalnie. Naprawdę chcesz wlec się przez las przemoczony, zmęczony i głodny?

Nie wydawał się przekonany.

– John, proszę, umieram z głodu... – próbowałem wziąć go na litość. W mojej rodzinie wszyscy mieli takie piękne, głębokie, czekoladowe oczy...

Westchnął i skręcił wozem na pole. Odetchnąłem z ulgą.

– Ale pamiętaj, jak coś się stanie, to będzie twoja wina – burknął. Po chwili jednak znów zaczął wesoło paplać.

Do śmierci będą prześladowały mnie jego słowa.

Wyjechaliśmy na pole. Z dwóch stron rozciągał się ciemny las, po jednej stronie na niebie wisały ciężkie, czarne chmury, po drugiej właśnie zachodziło słońce. Byłem podekscytowany – mogliśmy dojechać parę godzin wcześniej, więc może zdążyć napisać jeszcze list do Aleksandry i zostawić go do wysłania na najbliższej poczcie. Miałem nadzieję, że to po prostu problemy z dostarczaniem poczty powodują, że moje listy nie dochodzą do niej, a jej do mnie... Zajęty własnymi myślami dopiero po chwili zorientowałem się, że jesteśmy na środku pola i... poczułem, że muszę natychmiast uciekać. Zdezorientowany i zły chwyciłem tylko mocniej lejce prawą ręką, a lewą okryłem kocem śpiącego od niedawna Johna. Co za głupota, uciekać z pola! Co ja jestem, wystraszona jałówka?! Zaśmiałem się z własnego dowcipu i popędziłem konie. Chciałem mieć już za sobą tę irytującą podróż.

Lewe tylne koło wozu najechało na jakiś kamień i pękło. A potem wszystko potoczyło się bardzo, bardzo szybko.

Wybuch. Rzenie przerażonych koni. Krzyk. I kolejny wybuch. I jeszcze jeden, po którym rzenie ustało. W końcu zaległa cisza.

Leżałem na brzuchu, nie mogąc się poruszyć. Czaszkę przeszywał tępy ból, prawej połowy ciała w ogóle nie czułem. Lewą ręką miałem rozharataną od łokcia do nadgarstka, ale niezbyt poważnie. Prawej nie widziałem, nie mogłem obrócić głowy. Zresztą po chwili przestałem już cokolwiek widzieć, bo krew z rozciętej skroni zalewała mi oczy. Ogarnęła mnie ciemność... Pomyślałem o Johnie.

– John?

Zabawne, ale przestawałem odczuwać ból w ciele. Bolała tylko głowa, ale coraz mniej. Teraz chciało mi się tylko spać. Nie byłem głupi. Wiedziałem, że jeśli zasnę, to już się nie obudzę. Wiedziałem, że umieram.

Pozostawało tylko jedno pytanie...

I tak nikt mi nie pomoże. Nawet nikt nie zauważy, gdy teraz zniknę.

Powoli zasypiałem. Na moją twarz spadały krople deszczu. Najpierw małe, potem coraz większe. I coraz gęściejsze. Kap.

Kap, kap.

Kap, kap, kap...

Kap...

*

Trzy miesiące wcześniej. Kraków, 1916 rok

Powoli ubierała świeżą, wykrochmaloną, białą koszulę. Gdy skończyła, mechanicznie, niczym robot, podeszła do biurka i jeszcze raz przeczytała list. A właściwie to, co zostało z niego po cenzurze. Starła się nie skupiać na tych resztkach tekstu, które nie zostały powycinane, ale odtworzyć z nich to, co chciał jej przekazać. Bezskutecznie. Tekst nadal był niespójny, nielogiczny. Tak do niego niepodobny. Tak inny.

Długo nie mogła spać, bo zastanawiała się nad powodem zastosowania cenzury. Dlaczego? Dwójka zwykłych ludzi pisze całkiem zwykłe listy o całkiem zwykłych sprawach. Więc dlaczego? Nie rozumiała.

Do pokoju weszła Maria, założyła ręce na piersi i zacmokała z dezaprobatą.

– Aleksandro, doprawdy. Mogłabyś już skończyć użalać się nad sobą. Pacjenci czekają. Ta dziewczyna na dwójce musi mieć natychmiast zmienione bandaże, zajmij się tym, proszę. Aleksandro? Aleksandro...

Stara pielęgniarka zamilkła, gdy w lustrze ujrzała twarz dziewczyny pokrytą srebrnymi łzami. Natychmiast wyszła z pokoju, przeklinając swoją złośliwość. Niech tam, upiecze jej później jabłecznik na przeprosiny.

A ona ciągle stała pochylona nad listem. I wciąż płakała. Ale cicho, bo ona zawsze, gdy płakała, robiła to najciszej, jak mogła. By nie dręczyć innych.

Ubrana w białą koszulę, niebieską spódnicę i fartuch w tym samym kolorze stała w pokoju już ponad godzinę, gdy nagle do małego pomieszczenia wpadł lekko podchmielony woźny.

– Boże jedyny, panienska tutaj! Panienska jest potrzebna tam, na dole!

– Na jakim dole?– spytała głupio, nadal jakby oderwana od rzeczywistości.

Woźny był nie mniej zdziwiony od niej.

– Jakaś ewakuacja jest, że niby nalot będzie i wszyscy mają iść do schronu! I panienska też!

Wsunęła szybkim ruchem list do kieszeni fartucha i wybiegła w ślad za woźnym. Dokumenty i pieniądze zawsze miała przy sobie, w portfelu.

Dotarła przed szpital akurat wtedy, gdy ordynator krzyknął do przerażonych lekarzy i pacjentów:

– Grupy, które już są gotowe, mają bezzwłocznie ruszać do schronu!

Ku zdziwieniu samego ordynatora wszyscy zgromadzeni natychmiast ruszyli. Podeszła do niego i razem ruszyli za pozostałymi. Przyglądała się twarzom pacjentów. (...) I teraz jednej nie widziała.

– Panie ordynatorze, gdzie jest Jasiu? Proszę pana...? Proszę pana!!! – w jej głosie było słychać panikę.

Im bardziej on zwieszał głowę, tym ona głośniej krzyczała. (...) W końcu umilkła i usłyszała cichą odpowiedź:

– Dobrze wiesz, że i tak nie było sensu go zabierać... Zaczekaj! Aleksandro, wracaj, natychmiast!

Już go nie słuchała. Biegła.

Co z tego, że Jaś jest sierotą. Co z tego, że nie słyszy i nie mówi. Co z tego, że jest nieuleczalnie chory. Jeśli ktoś zasługuje na szansę, to tylko on.

Wbiegła do szpitala akurat wtedy, gdy rozległ się dźwięk syreny alarmowej. Ogarnął ją strach, ale biegła dalej. Wpadła do małej sali i rozejrzała się po niej. Pusto. Ale zbyt dobrze знаła Jasia. Otworzyła szafę i wpadła w objęcia siedmioletniego chłopca. Był tak chudy, że z łatwością wzięła go na ręce, okryła chustą zerwaną naprędce z łóżka i wybiegła ze szpitala. Jaś trzymał się jej najmocniej, jak potrafił, a jej i tak się wydawało, że na szyi wisi jej tylko jakiś cięższy wisiorek.

Była w połowie drogi do schronu, gdy usłyszała świst. Jakieś sto metrów za nią spadła pierwsza bomba. Doszczętnie zniszczyła gmach poczty i sprawiła, że Aleksandra upadła. Zastłoniła Jasia własnym ciałem, dlatego bolało jeszcze mocniej. Podniosła się jednak szybko i ruszyła dalej, tym razem trzymając chłopca za rękę. Z daleka widziała już wejście do schronu, w którym ordynator przepychał ostatnich maruderów.

– Proszę pana!!! Proszę zaczekać!!! – krzyknęła najgłośniej, jak potrafiła.

Ordynator zauważył ich i pomachał do niej. Przyspieszyła kroku.

Świst.

Była zmęczona...

Popchnęła chłopca i krzyknęła:

– Biegnij, Jasiu! Do doktora, szybko!!!

Malec spojrział na nią i wystartował sprintem, jakiego nikt by się po nim nie spodziewał.

Zauważyła tylko, że Jaś podbiega do ordynatora. Potem wybuch, tuż koło niej. Potem walący się budynek. A potem już nie widziała niczego...

Maria trzymała chłopca na kolanach. Od dwóch godzin nie robił nic innego, tylko płakał. Nikt nie miał do niego pretensji. Nagle zerwał się z jej kolan, upadł na podłogę i zawył. Potem zwinął się w kłębek i raz za razem powtarzał: – Aleksandra, Aleksandra, Aleksandra...

*

Ból. Wstrząsy, rytmiczne. Raz, dwa, raz, dwa. Można się przyzwyczaić. Zawsze na „dwa” boli.

Otworzyłem oczy i ujrzałem... Nie, nie anioła, choć z perspektywy czasu powinienem zmienić zdanie. Nie był to też John. Tylko jakiś... żołnierz. Niemiec. Co, do czorta? Gdzie ja jestem? Jakby czytając w moich myślach, odpowiedział:

– Zaraz dotrzemy do szpitala polowego. Wytrzymaj jeszcze chwilę.

Co?! Do jakiego szpitala? Czuję się dosyć dobrze, nic mnie nie bolało, no może z wyjątkiem głowy...

Pomału wszystko sobie przypominałem, a wraz ze wspomnieniami powracał ból. Zanim znów straciłem przytomność, zdążyłem cicho zapytać o Johna.

– Obawiam się – odpowiedział mój wybawca – że twój towarzysz nie żyje. Przykro mi.

Zemdlałem, gdy uświadomiłem sobie, że krew na moim ubraniu niekoniecznie należy do mnie.

– Co z nim?

– Cóż, musieliśmy amputować prawą rękę. Miał też połamane żebra i uszkodzoną miednicę, stracił również sporo krwi. Ale rokuje dobrze i myślę, że teraz potrzebuje dużo czasu i spokoju.

Westchnięcie.

– Musieliście mu amputować tę rękę?

– Zapewniam pana, że zrobiliśmy wszystko najlepiej, jak potrafimy – usłyszał oschły głos lekarza.

Kolejne westchnięcie.

– No cóż, dziękuję. Muszę już wracać do obozu. Do widzenia.

Brak odpowiedzi. Kroki. Otwieranie i zamykanie drzwi. Cisza. I znowu kroki, tym razem dwóch osób. Otworzyłem oczy akurat w momencie, w którym do sali wszedł lekarz i śliczna, młoda pielęgniarka o blond włosach. Spojrzałem doktorowi w oczy i skinąłem głową.

– Słyszałem. Długo będę tu tkwił?

Lekarz był zaskoczony.

– Nic pan sobie nie robi z faktu, że nie ma pan prawej ręki?

Prawda dotarła do mnie ze zdwojoną siłą, zabołało, ale nie odpowiedziałem, a on kontynuował.

– No cóż... W szpitalu zostanie pan najpewniej około trzech tygodni, potem uda się pan do ośrodka rehabilitacyjnego dla rannych żołnierzy. Nauczy się pan tam żyć bez prawej ręki. Nie ma jednak żadnego przymusu, możemy pana odesłać od razu do domu.

– Skorzystam z pana oferty, dziękuję.

Skinął głową.

– A, jeszcze jedno. Był pan nieprzytomny przez trzy dni. W tym czasie dostaliśmy list adresowany do pana. Hanna – tu wskazała na pielęgniarkę – pomoże panu go otworzyć.

Wyszedł, a młoda dziewczyna od razu zbliżyła się do mojego łóżka. Uśmiechnęła się:

– Otworzyć?

– Tak, poproszę.

Otworzyła list i podała mi go. Uśmiechnęła się i wyszła, ale tego już nie zauważyłem. Czytałem.

Składamy szczerą kondolencję z powodu śmierci pańskiej kuzynki Aleksandry Wendt, zmarłej na skutek wybuchu. Informujemy, że zgodnie z wolą zmarłej zostaje pan posiadaczem domu przy ulicy Lawendowej 9 w Krakowie...

Jezu, ona nie żyje!

Długo trwało, nim zrozumiałem, że tego feralnego dnia wcale nie przegrałem życia. Uświadomiłem to sobie, gdy wiele lat później wciąż korespondowałem z moim przyjacielem, Karolem. Tym samym, który uratował mi życie, wtedy po wybuchu. Uświadamiam to sobie zawsze, gdy patrzę na moją żonę Hannę (tak, tę Hannę) i na naszego syna. Nie zapomniałem ani o Aleksandrze, ani o Johnie. Jakże bym mógł – Aleksandrę kochałem, John był moim przyjacielem. Nie mógłbym o nich zapomnieć (...)

Przeszedłem już wiele. Nie mówię, że wszystko – wszystkiego nie da się doświadczyć w życiu. Ale można na tyle dużo, by móc później spojrzeć w przeszłość i uznać, że jest się wystarczająco silnym, by być szczęśliwym.

Aleksandra Pastwa kl.III Gim

Niebiańskie skrzydła

Pewien pisarz powiedział kiedyś „Nawet najgorsza prawda jest lepsza od najlepszego kłamstwa”. Być może miał rację, a to stwierdzenie zawiera ważny przekaz... być może. Jednak ja wiem, że ten świat był dużo przyjemniejszym miejscem wtedy, gdy żyłam w błogiej nieświadomości. Gdy nie wiedziałam, że wszyscy dookoła kłamią... Tak... to właśnie wtedy było dobrze... Jednak potem ktoś zepchnął mnie z mojej chmurki... a ja ciągle spadam... i nigdy nie przestanę... chyba że ktoś mnie złapie...

Płakała. Znowu. Zawsze płakała. To właśnie ten park był świadkiem, gdy zdejmowała maskę. Drzewa, szumiące cicho, potężny wodospad, którego wody odbijały się od tysiąca kamieni, krzewy obcięte w fantazyjny sposób, ta cisza, i stara, drewniana ławka znajdująca się w samym centrum... Jakby na odrębnym kawałku ziemi w tym wielkim świecie.

Bo ta maska radości, bez troski, którą wszyscy widzieli na jej twarzy... Którą widział ON...

Tutaj przestawała istnieć.

Ławka zatrzeszczała pod naciskiem nowego ciężaru. Paulina ze zdumieniem spojrzała na starszą panią, która właśnie sadowała się obok niej, w kapeluszu z szerokim rondem i burgundowym płaszczu. Przecież nie brak pustych ławek, na których można przysiąść...

Nieznajoma popatrzyła w błękitne niebo i powiedziała w przestrzeń:

- Niedługo zacznie padać - i spojrzała na Paulinę. - Życie jest zbyt cudowne, by tracić czas na płkanie, skarbie - kobieta posłała jej promienny uśmiech.

- A mimo to ludzie płaczą - mruknęła dziewczyna.

- Tak. A przecież jest tyle powodów do radości!

- A do smutku jeszcze więcej.

- To zależy tylko od punktu widzenia - kobieta mrugnęła do niej. - Z każdej sytuacji jest wyjście. Trzeba je znaleźć i wierzyć, że nic nie dzieje się bez przyczyny. W końcu ci na górze mają jakiś cel - zamilkła na chwilę. - Wiesz, była kiedyś taka słowiańska kobieta, wyklęta przez swoje plemię, zmuszona do mieszkania w dzikiej puszczy.

- I znalazła z tej sytuacji wyjście? - zapytała sceptycznie Paulina.

- Nie. Ona tylko poddała się losowi. A za to spotkała ją nagroda.

- I jest w tym coś niezwykłego?

Kobieta spojrzała na nią prznikliwie.

- Jest.

- A co?- Paulina przetarła zaczerwienione oczy. - Co jest niezwykłego w czekaniu, aż coś się stanie? Poddaniu się biegowi wydarzeń?

- Trzeba się z tym pogodzić - kobieta roześmiała się. - Z tym, że nie masz na wszystko wpływu. Ale nikt nie każe ci pokornie czekać, aż coś się wydarzy... Czasami po prostu trzeba przyjąć do wiadomości, że co się stało, to się nie odstanie. W końcu nic nie dzieje się bez przyczyny.

Zastanowiła się nad tymi słowami.

- A jak to było z tą słowiańską dziewczyną?

Starsza pani przez chwilę milczała, a gdy Paula myślała, że już nic nie powie, ona zaczęła swoją opowieść:

- Marzanna była córką władcy plemienia Ślęzan, które osiedliło się wokół dzisiejszego Wrocławia - ciągnęła kobieta, nagle melancholijna. - Zapewne wiesz, że ludzie w tamtych czasach byli prostoduszni i przesądni?

Paulina skinęła głową, ale staruszka chyba nie zwróciła na to uwagi.

- Miała wtedy osiem lat. Była chlubą dla swojej rodziny. Silna duchem, przeznaczona dla mężczyzny, który w walce mógł dorównać jej ojcu.(...) Miała młodszego brata, który nie ukończył jeszcze siedmiu lat, dlatego ukrywał się pod przebraniem dziewczynki, a ona, wraz z matką, strzegły go dniem i nocą. Wydawało się, że bogowie jej sprzyjają. Żyła w szczęściu i dostatku. Aż pewnego razu stało się coś strasznego - kobieta przymknęła oczy, zapewne wyobrażając sobie to wydarzenie - Matka dziewczynki poszła w pole, by zanieść obiad swemu mężowi, a ona została z bratem.(...)Gdy matka wróciła, zapytała: „Gdzie jest mój syn?”. „Bawi się na dworze, matko”. Obie się tam udały... ale chłopca nigdzie nie było. W dziewczynie zaczął rodzić się niepokój. Przeszukały całe gospodarstwo, a potem, już w panice, całą wieś. A gdy i to nic nie dało, mężczyźni wyruszyli w las. Na próżno. Chłopca nie znaleziono. „To Wraża, bogini zemsty” - szeptano. Marzanna nie chciała w to wierzyć, jednak w końcu i do niej dotarła prawda. Jej brat został porwany... przez boginię. A skoro taka jest jej wola, to już nic nie da się zrobić. Matka rozpaczała. Codziennie składała ofiary bogom, błagając ich, by zwrócili jej dziecko. „A wszystko przez twoją głupotę” zdawały się mówić oczy ojca. (...) Ale nic nie powiedział. Nie płakał, ale... cała jego postawa wyrażała smutek. I żał do niej. To było jeszcze gorsze, niż gdyby na nią nakrzyczał. Dlatego zaraz po ceremonii pożegnalnej zamknęła się w sobie. Wciąż wykonywała swoje obowiązki,

była jednak nieobecna duchem...- kobieta westchnęła ciężko. - Po pewnym czasie matka pogodziła się z losem, chociaż aż do śmierci zmawiała błagalne modlitwy do bogów. Z oczu ojca nie znikł cień smutku, widoczny nawet w chwili, gdy się śmiał. A ona? Nauczyła się z tym żyć. Wróciła ... ale już przestała być dzieckiem szczęścia, któremu sprzyjają bogowie. To wydarzenie odbiło na niej swe piętno. Gdy miała jedenaście lat, jej ojciec stracił wzrok, dlatego została wydana za owego mężczyznę, o którym wspominałam...

- Chciał się z nią ożenić pomimo tego przekleństwa? - zapytała Paulina, którą historia pochłonęła już całkowicie.

- Tak, tak - kobieta uśmiechnęła się smutno. - Jego żądza władzy była silniejsza niż przesady, a zaraz po zawarciu związku małżeńskiego został władcą plemienia. Miał z nią dziecko. Chłopca, którego pokochała z całego serca. Niestety, jej mąż nie chciał go wychowywać, dlatego postanowił oddać syna rodzicom dziewczyny, w ramach, jakby to ująć...? Zapłaty za zaginionego brata. Nie zgodziła się. Mężczyzna był tak wzburzony, że powiadomił o tym starszyznę, która również zażądała od niej tej ofiary. Jej rodzice mimo wszystko bardzo ją kochali, dlatego starali się jej pomóc, jednak nic już nie mogli zrobić. Lud zaczął wznosić przeciw niej protesty. Gdy sytuacja stała się nie do zniesienia, pożegnała się z rodzicami i uciekła w las wraz z dzieckiem. Gorąco modliła się do Zarzy- trzech bogiń losu. Podążyła na północ. Starła się chodzić lasem, wiedziała bowiem, że gdy jej plemię ich odnajdzie... to zginą.

- A szukało ich?

- Na pewno - kobieta przejechała ręką po czole - W ich oczach dopuściła się haniebnego czynu, za który musiała zapłacić... Podążyła na północ przez wiele miesięcy. Dbała o swojego syna najlepiej, jak umiała, chroniąc go przed Wrażą. Musiała nosić go na rękach, przecież był jeszcze niemowlakiem. Pewnego dnia doszła do osady Polan, gdzie spotkała mężczyznę, który ugościł ją w swoim domu - usta kobiety rozciągnęły się w uśmiechu, sprawiając, że wszystko wokół pojaśniało. - Wielkie nieba!- rozejrzała się po parku, jakby widziała go pierwszy raz w życiu. - Ale późno się zrobiło! - wstała z ławki.

Rzeczywiście, powoli zaczynało się zmierzchać.

- Proszę poczekać!- zawołała Paulina do odchodzącej kobiety. - Co wydarzyło się potem?! Nie znaleźli jej? A ta nagroda, która ją spotkała?

Staruszka zatrzymała się.

- Nie znaleźli. Marzanna została żoną tego mężczyzny.

- I tyle? - zapytała zawiedziona Paulina. - Cała ta historia tylko po to, by spotkała jakiegoś faceta?

- Faceta, którego pokochała - roześmiała się babcia. - Z całego serca. Dla miłości warto poświęcić wiele, nie sądzisz?

Paulina w duchu przyznała jej rację, ale nie zamierzała odpuścić tak łatwo. Chciała znać zakończenie tej historii!

- A jej syn? Nie porwała go ta bogini?

- Ukrywał się pod postacią dziewczynki do siódmego roku życia... I szczęśliwie dorósł - kobieta tajemniczo zniżyła głos. - A potem został władcą Polan.

Paulina odwróciła wzrok przed intensywnym spojrzeniem staruszki, trawiając przez chwilę tę informację.

- I to dzięki jej potomkom Polanie stali się takim silnym plemieniem? - popatrzyła w miejsce, gdzie stała... gdzie powinna stać kobieta. Ale jej już tam nie było.

Dziewczyna usiadła na ławce, rozmyślając nad tą opowieścią. Nawet nie zwróciła uwagi, gdy zaczął padać deszcz...

W końcu, cała przemoczona, roześmiała się. Śmiała się, bo zrozumiała sens tej historii... Po raz ostatni obrzuciła spojrzeniem park, wstała z drewnianej ławki i ruszyła w stronę domu.(...)

Od tego wydarzenia minęło już kilka lat i nie było dnia, żebym o nim nie myślała. Stałam wtedy daleko, lecz na tyle blisko, by słyszeć każde słowo, jakie padło z ust kobiety. By widzieć Paulinę, to, jak jej usta powoli rozciągają się w uśmiechu, którego nie formowały od dawna... na Paulinę, która nigdy więcej nie przyszła do parku, na starą ławkę. Zawsze gdy tu jestem, zadaję sobie te same pytania, na które zapewne nigdy nie poznam odpowiedzi. Czy rozwiązała swój problem? Czy jest szczęśliwa? I czy staruszka znalazła się przez przypadek tu, w tym parku, przy tym wodospadzie...? Czy wiedziała, jaki zbawienny wpływ będzie miała jej opowieść? Może tak, może nie... W końcu kto wie, jakie plany ma dla nas los?

Bo smutek jest jak otchłań... Otchłań, która pochłonie cię, gdy tylko jej na to pozwolisz... Im głębiej spadniesz, tym trudniej będzie ci się z niej wydostać... A gdy znajdziesz się na jej dnie, jedynym ratunkiem będą skrzydła, niebiańskie skrzydła, których użyczy ci ktoś inny...

Barbara Rosochacka kl.I gim

Najważniejsza walka

Nachylona nad butem patrzyłam na rozwiązaną sznurówkę. Klęcząc, próbowałam poukładać w głowie myśli lub opracować jakikolwiek plan. Za wszelką cenę chciałam znać zakończenie, wiedzieć, czy wygram. Bałam się, że nie dam rady, że mój przeciwnik jest silniejszy. Roztrzęsionymi rękoma ujęłam obydwie sznurówki i związałam je w równiutką kokardkę. Po chwili, nie spuszczać wzroku z adidasa, podniosłam się. Pomału zaczęłam rozglądać się po trybunach, które otaczały mnie wokół. Mój wzrok zatrzymał się na rodzicach uśmiechających się i troskliwie śledzących moje ruchy. Parę siedzeń dalej dostrzegłam moich przyjaciół machających do mnie. (...)

- Gotowe? - z zamyślenia wyrwał mnie głos sędziego. Schyliłam się, podniosłam maskę jedną ręką, a drugą trzymałam kurczowo floret. Zaraz po tym ruszyłam powoli przed siebie wzdłuż metalowej planszy. Zatrzymałam się na linii wyznaczającej miejsce, w którym mogę zacząć walkę. Właśnie w tym momencie uświadomiłam sobie, że to jest ten czas, kiedy muszę po raz pierwszy spojrzeć przeciwnikowi prosto w oczy(...) Czułam, jak ciarki przeszły mi po plecach. Włożyłam maskę na głowę, zapięłam mocniej rękawicę i ścisnęłam floret w dłoni. Obydwoje staliśmy już w pozycji szermierczej na liniach wyjściowych i tylko czekaliśmy na znak sędziego, by rozpocząć walkę.

- Naprzód! - rozległa się stanowcza komenda sędziego i ruszyliśmy ku sobie. Pełna obaw i strachu, nie znając swojego przeciwnika, nie wiedziałam co robić i jak reagować. Zza maski obserwowałam jego dynamiczne ruchy. Bezbłędne obrony przed moimi atakami stresowały mnie, a jeszcze bardziej punkt zadany tuż po nich. Gdy trafił we mnie, poczułam ogromny strach i niepewność przed tym, co będzie. Pewnego rodzaju bezradność i smutek. Po chwili ocknęłam się i uświadomiłam sobie, że przegrywam jednym punktem. Wróciłam na linię startową i po kolejnej komendzie sędziego podjęłam drugą próbę zadania trafienia. Nie było to łatwe, gdyż rozmiar przeciwnika zdecydowanie przewyższał mój. Ogromne mięśnie, długie nogi i ręce precyzyjnie wykonywały ruchy i już po chwili poczułam na kamizelce kolejne trafienie.

W tym momencie znów ogarnęło mnie dziwne uczucie. Tym razem tęsknota. Tęsknota za spokojem i radością. Za tym, co działo się przed tym piekielnym finałem. Pomyślałam, że wiele bym dała, by przewinąć do przodu terazniejszość i nie odczuwać tych paraliżujących emocji. Gdzieś na trybunach słyszałam, jak ktoś głośno wykrzykiwał moje imię. Słyszałam gwizdy oraz okrzyki zagrzewające mnie do walki. Postanowiłam wziąć się w garść. Po kolejnym znaku od sędziego pomału rozpoczęliśmy kolejną akcję. Negatywne emocje nie chciały odpuścić i ciągle trzymały się mnie kurczowo. Niepewnie i nieśmiało wyciągnęłam rękę, by zdobyć pierwszy punkt, lecz i ta próba skończyła się niepowodzeniem. Rywal zasłonił się i błyskawicznie odpowiedział na nieudany atak. Znów dziwne uczucie przeszło mnie od środka. Tym razem był to żal i poczucie niesprawiedliwości. Nasuwały mi się pytania: „Dlaczego ja?”, „Dlaczego mi przyszło się zmierzyć z tym przeciwnikiem?”, „Dlaczego akurat takiego rywala dostałam?”, „Jak długo muszę stać naprzeciw niego i walczyć?”.

Szybko wymazałam te myśli z głowy. Wróciłam na linię wyjściową i usłyszałam okrzyki ze strony trybun, które dodawały mi otuchy. Odszukałam wzrokiem rodziców, którzy nieustannie trzymali kciuki, a w głowie słyszałam szybkie, rytmiczne bicie ich serc. Później spojrzałam na miejsce, z którego dochodziły te krzyki. To byli moi przyjaciele i bliscy, którzy dopingowali mi z całych sił. Spojrzałam na aparat, na którym wyświetlona była punktacja. Serce zabiło mi mocniej i szybciej. Zaciśnęłam zęby i mocniej ujęłam rękojeść floretu. Wiedziałam, że z odpowiednim nastawieniem i rozsądnym podejściem do walki jestem w stanie ją wygrać. Moje rozedrgane ręce pomału zaczęły się uspokajać(...). Nie mogłam pozwolić sobie na większą przewagę przeciwnika. Coś we mnie się przełamało i po komendzie sędziego zaczęłam odważnie sięgać po zwycięstwo. Bez lęku i niepewności przejęłam inicjatywę. Już po chwili koniec mojej broni zatrzymał się na kamizelce przeciwnika i zapaliła się lampka na aparacie, sygnalizując punkt dla mnie.

Dało się zauważyć, że mój rywal nieco zmałał. Jego rozmiar już prawie dorównywał mojemu. To dodało mi jeszcze większej pewności siebie. Tak po paru dynamicznych akcjach zyskałam równowagę punktową, a mój przeciwnik był coraz mniejszy. Ogromna radość przepełniała mnie od wewnątrz. Zdałam sobie sprawę, że jestem coraz bliżej zwycięstwa i przełamując swój strach, osłabiam przeciwnika. Tyle myśli i pomysłów na rozegranie akcji kłębiło mi się w głowie. Po chwili niefortunna zbieżność ruchów spowodowała, że zderzyliśmy się boleśnie. Przeciwnik zdobył punkt. Poczułam w plecach ogromny ból. Łza zakręciła mi się w oku, a kropla potu spłynęła na czoło. Wiedziałam, że nie mogę oddać tej walki, że póki walczę, jestem zwycięzcą. Rywal znów prowadził, a zostało raptem parę sekund do końca. Czułam, jak mocno bije mi serce. Jednak nie załamywałam się. Mimo promieniującego bólu w plecach stanęłam naprzeciw i po sygnale, bez wahania, płynnie rozegrałam zaplanowaną akcję zakończoną pozytywnym rezultatem. Był to ostatni moment, gdyż czas właśnie się skończył. Byłam szczęśliwa, że znalazłam w sobie siłę i odwagę, by stawić opór i wyrównać końcowy wynik.

Jednak wiedziałam, że to nie koniec. Ktoś musiał zadać ostateczne trafienie. Po krótkiej przerwie sędzia oznajmił nam, iż mamy na to minutę. Zatem założyłam maskę i po raz ostatni stanęłam na linii wyjściowej. Byłam niemal pewna, że będę mogła przypisać sobie to zwycięstwo. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że może być inaczej. Wsłuchiwałam się w dochodzące z trybun dopingujące odgłosy wszystkich bliskich, bo wiedziałam, że gdyby nie one, to nie udałoby mi się znaleźć w sobie odwagi. Wzięłam głęboki wdech. Uśmiechnęłam się w duchu i czekałam na znak arbitra.

- Naprzód - krzyknął i tuż po tym mój przeciwnik ruszył w moim kierunku pełna parą. Nie wahając się zrobiłam unik, trafiając jednocześnie rywala i to był ten decydujący moment. Zapaliła się kolorowa lampka po mojej stronie. Radość nie do opisania wypełniła moje serce. Uniosłam ręce do góry w geście zwycięstwa. Po raz ostatni spoglądałam na mojego przeciwnika, który sięgał mi do bioder. Jego oczy już nie były rozpalone zachłannością. Krzywiąc się z niesmakiem, kurczył się przede mną, aż w końcu zniknął, zostawiając za sobą delikatną chmurkę dymu. Łzy szczęścia popłynęły mi po policzkach, a duma i spełnienie zajęły miejsce innych emocji. Spoglądałam na wrzącą z radości publiczność, puściłam wszystko, co miałam w rękach i pobiegłam w kierunku moich najbliższych(...).

- Martyna, do zabiegowego!! - Ocknęłam się nagle. Z głębokiego zamyślenia wyrwał mnie głos pielęgniarki dochodzący z korytarza. Uśmiechnęłam się pod nosem, zerknęłam na leżący w kącie floret i wstałam z łóżka. Założyłam kaptur i pomału ruszyłam w stronę drzwi, ciągnąc za sobą stojak z kroplówką, by podłączyć się pod chemię.

Martyna Miłogrodzka kl.II gim

Bez tytułu

Jesteś okropny.

Kaj patrzy na swoje odbicie i czuje narastające obrzydzenie. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że pulchny chłopak, którego widzi jest już tylko wspomnieniem. Podnosi koszulkę do połowy torsu. Pomimo tego, że można policzyć wszystkie żebra, on wciąż szuka fałdek tłuszczu.

Wystarczająco chudy? Nie ma czegoś takiego. Nie można być wystarczająco chudym.

Odwraca się od lustra. Nie jest w stanie patrzeć na siebie ani sekundy dłużej. Klęka nad sedesem. Tak bardzo nienawidzi tego robić. Wkłada dwa palce do gardła.

Czemu to musi być tak okropnie nieprzyjemne?

Wymiotuje. Żrąca ciecz drażni gardło. Do oczu napływają mu łzy. Przez to, że tak mało je zwraca prawie samą wodę. Wstaje lekko się zataczając. Nie jadł nic od dwóch dni, a torsje dodatkowo go wykończyły. Myje zęby. Pasta nie tłumi gorzkiego posmaku w ustach. Wychodzi z łazienki. Sądząc po zapachu ktoś w kuchni przygotowuje obiad. Tak apetycznie pachnie...

Bzdura, obrzydliwie! Jedzenie jest wstrętne!

Rodzina Kaja mieszka daleko poza miastem, dlatego, by uczęszczać do prestiżowej szkoły muzycznej, chłopak wynajmuje małe mieszkanie blisko centrum razem z czterema kolegami z zajęć. Mamie i tacie bardzo zależy na jego karierze, więc inwestują w niego mnóstwo pieniędzy.

- Kaj! Mam naleśniki, chcesz?- woła Artur wychylając się z kuchni .

- Nie, dzięki. Nie jestem głodny – odpowiada chłopak pragnąc jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem kuszącej woni.

- Nie, nie, nie, drogi panie. Obserwowałem cię. Przez cały dzień nic nie jadłeś. Teraz grzecznie siądziesz i spałaszujesz naleśniki, przy których przyrządzaniu bardzo się starałem.

Jasna cholera! Czemu on zawsze zachowuje się jak moja matka?

Kaj stara się znaleźć jakąś logiczną wymówkę. Chorobą tłumaczył się w zeszłym tygodniu.

- Czemu ci tak na tym zależy? Po prostu nie chcę!

- Spójrz na siebie! Wyglądasz jak widmo- łapie Kaja za nadgarstek- Sama skóra i kości!

Naprawdę? Nie, na pewno nie! Mówi tak tylko po to, żeby wepchać we mnie to świństwo.

Artur ciągnie go do kuchni. Wymizerowany chłopak nie ma siły na opór. Sadza go na niewygodnym drewnianym krześle przy ścianie. Kajowi długo udawało się ukrywać swój problem. Zawsze chodził uśmiechnięty i pełen energii. Nawet jeśli kosztowało go to wiele wysiłku, nigdy nie wychodził z roli. Jego koledzy zaczęli coś podejrzewać dopiero, gdy niebezpiecznie stracił na wadze. Wciąż jednak nie mieli żadnych dowodów poza

chudymi jak zapałki kończynami przyjaciela. Nikt nie przytapał go na wymiotach lub wyrzucaniu jedzenia. Nie potrzebie wydarł się teraz na Artura. Musi coś szybko wymyśleć. Teraz nie może uciec, bo będzie po nim. Musi to zjeść, a potem elegancko zwrócić. To jedyny sposób, by oczyścić się z zarzutów. Artur stawia przed nim talerz autentycznego jedzenia. Ile to może mieć tłuszczu? A ile kalorii? Kaja ogarnia panika. Tylko spokojnie. Od tych przeklętych naleśników zależy jego życie.

Pierwszy raz wywołał wymioty niecały rok temu. Miało to miejsce w łazience filharmonii. Brał udział w koncercie świątecznym. Zaraz po występie wszyscy chłopcy pobiegli zobaczyć, czy coś zostało w bufecie. Tylko jeden ze starszych uczniów spokojnie usiadł przy toaletce i zaczął zmywać matujący makijaż.

- Nie idziesz?- zapytał zdziwiony Kaj. Kolega odwrócił się i odpowiedział z uśmiechem:

- Nie. Nie chcę być gruby – na pewno żartował, ale Kaj poczuł się dotknięty. Zaczął się zastanawiać. Skoro jego rodzicom tak zależy na jego karierze, to nie może tyć. Grubi ludzie nie są sławni, nie są szczęśliwi, nie są kochani. Wyszedł z garderoby, ale nie udał się do bufetu. Poszedł do łazienki i zwymiotował.

Bierze do rąk nóż i widelec. Ostrożnie wkłada do ust kawałek potrawy. W jego wnętrzu wybucha prawdziwa burza emocji. Walka konsekwentnej woli ze zwierzęcym instynktem przetrwania. Żołądek domaga się więcej i więcej upragnionego pokarmu podczas gdy całe wewnętrzne ja chłopaka skręca się z obrzydzenia i desperacji. Nie kontroluje swoich ust, które rytmicznie przeżuwiają kolejne kęsy. Ile już tego zjadł? Musi przestać.

Koniec! Natychmiast! Błagam!

W końcu udaje mu się wyrwać z konsumpcyjnego transu. Na talerzu pozostały mizerne resztki.

- Ale się najadłem! Wiesz, że uważam cię za świetnego kucharza, Arturze- mówi z promiennym uśmiechem na ustach, choć wewnątrz rozpada się na kawałki. Artur wygląda na uspokojonego.

- Idę z Kamilem i Danielem do centrum handlowego, chcesz iść z nami?- Kaj nie ma zamiaru nigdzie wychodzić. To dla niego szansa na naprawienie szkód wyrządzonych jedzeniem.

- Zostanę. Muszę poćwiczyć tego przeklętego Chopina.

Gdy tylko Artur opuszcza mieszkanie, Kaj bierze się do roboty. Najpierw idzie do łazienki i kilkakrotnie zmusza się do torsji. Następnie kładzie się na podłodze w sypialni. Zaczyna robić brzuszki. Nie liczy. Będzie je robił aż do momentu, kiedy nie będzie w stanie się podnieść. Zazwyczaj o tej porze się waży, ale dzisiaj tego nie robi. Po prostu nie jest w stanie. Katorzniczą serią ćwiczeń przerywa głos Maćka dobiegający z korytarza:

- Czy ktoś jest w domu? Drzwi były otwarte- oświadcza chłopak zdejmując buty. Kaj podrywa się na równe nogi. On zaraz tu przyjdzie. W końcu mają wspólną sypialnię. Maciek pojawia się w progu. Taki jak zwykle. Wysoki brunet o dużych oczach, ciepłym uśmiechu i atletycznej budowie ciała. Wygląda po prostu jak młoda, charyzmatyczna gwiazda.

Ile jeszcze będę musiał schudnąć, by wyglądać tak jak on?

Kaj nie wie, że przy koledze wygląda jak żałosna gałązka.

- Nie poszedłeś ze wszystkimi?- pyta Maciek siadając na krawędzi swojego łóżka.

- Jak widać- odpowiada chłopak chcąc energicznie ruszyć ku drzwiom, lecz nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Osunął by się na ziemię, gdyby przyjaciel nie złapał go w locie. Maciek dokładnie przygląda się koledze. Kaj wygląda krucho i słabo. Jego twarz jest blada, wargi sine, pod oczami wyraźnie zarysowały się ciemne worki. Chłopak zazwyczaj ubiera luźne ubrania, więc Maciek nie dostrzegwał patykowatych rąk i nóg. Jak mógł nie zauważyć, że on wygląda jak zagłodzona sierota?! Zawsze podczas obiadów Kaj gadał jak nakręcony tylko po to, by odwrócić ich uwagę od swojego talerza. Na dodatkowe zajęcia ze śpiewu uczęszczał akurat w porze lunchu. Dzięki temu nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, że omija również ten posiłek. Wstawał później niż wszyscy, żeby nie zdążyć na śniadania. To było tak oczywiste, a oni nic sobie nie robili z tych podręcznikowych oznak anoreksji. Nikt nie pomyślał o tym nawet przez chwilę. Przecież ta choroba to domena zakompleksionych baletnic.

- Kaj? Kajetan, nic ci nie jest? – chłopak kiwa głową- dlaczego nie jesz?- głos mu się łamie.

- Chcę, żeby wszyscy mnie kochali - odpowiada słabo.

- Ale wszyscy cię kochają! Twój rodzice, Artur, Daniel i Kamil... Ja też cię kocham. Jesteśmy jak rodzina, pamiętasz? – mówi Maciek i przytula z całych sił to wyniszczone, kościste ciało. Obejmuje chłopca, który sam się tak skrzywdził tylko po to, by podobać się innym. Kaj płacze. Teraz wszystko na marne. Oni to zauważyli i teraz będą mu kazali jeść. Jeść, jeść, jeść. Już tak nie wytrzyma. Czuje się martwy. Czuje, że chce zniknąć.

Natalia Niedzielska kl.III gim

Nazajutrz

Na początku był zapach.

Zapach jaśminu, ciepły i wyrazisty. Otaczał mnie zewsząd wraz z czernią i ciszą. Unosiłam się na jego fali i dryfowałam, nie znając celu wędrówki.

Potem był głos.

- Lila, obudź się!

Bardzo chciałam odpowiedzieć, ale czułam, że moje ciało jest uwięzione w swoistym kokonie. Próbowałam się chociaż uśmiechnąć, skupiłam więc całą energię na wargach.

- Drgnął! Kącik ust! Lekarza!!!

Wykończyło mnie to zupełnie, z ulgą osunęłam się w niebyt.

I w końcu stało się światło. Ostre i bolesne. Jak sztylet. Zamknęłam czym prędzej oczy.

- Lila, nie odpływaj, to ja, mamusia, Lilka, kochanie!

Mama. Chciałam ją zobaczyć. Uniosłam delikatnie powieki, dosłownie na milimetry. Majaczył nade mną cień, który przyjemnie łagodził jasne światło. Cień dobrze znajomy i ukochany. Mama.

- Ampua... - tyle zdołałam powiedzieć. Z moich ust zamiast czystego, mocnego głosu wydobył się jakiś okropny charkot. Dlaczego? Nie mogłam tego znieść.

Na mój jęk mama wzdygnęła się. Z jej sylwetki wyczytałam najpierw przykre zdziwienie, potem ból i litość. Nienawidziłam litości. Wyciągnęła dłoń ku czemuś, co leżało na mojej pościeli i tam ją zostawiła. Co ona tak kurczowo trzyma? Szerzej otworzyłam oczy i zerknęłam w dół. Ręka. Błada i przeraźliwie chuda. Moja koścista i... bezwładna dłoń. Nagle poczułam okrutne ukłucie strachu. Spojrzałam na mamę. Teraz już kiedy przyzwyczaiłam się do światła, mogłam ją dokładnie obejrzeć. Była przemęczona. Włosy spięta w krzywy kok, czarne i siwe kosmyki powypadały jednak z niego i luźno tańczyły wokół twarzy. Cera była poszarzała, a zmarszczki rzucały się w oczy. Na jej ustach błąkał się słaby uśmiech, ale z czarnych oczu kapwały łzy, rzeźbiąc gęsto i nieprzerwanie małe strumienie na policzkach. Pochyliła się nade mną, a ja poczułam swojski zapach jaśminu kojarzący się z domem.

- Lilia... Lila, tak się cieszę, że się obudziłaś. Nieee, nic nie mów, nic – powiedziała szybko. Trochę za szybko. Wszystko było nie tak, a ja chciałam się dowiedzieć o co chodzi. W mój wzrok włożyłam tyle stanowczej prośby, ile byłam w stanie. Mama przygryzła wargę i widziałam jak bije się z myślami. W końcu wzięła głęboki oddech i zaczęła:

- Liliana, zamierzała ci to opowiedzieć trochę później, ale... Wiem, że jesteś silna i zdecydowana, na pewno chcesz usłyszeć wszystko od razu. Przynajmniej ja bym tak wołała... - mówiła prędko i bez namysłu, patrząc uparcie w ścianę. - Nie wiem, czy pamiętasz cokolwiek. Jechałaś ze swoim trenerem na Mistrzostwa Polski. Bardzo się cieszyłaś startem, miałaś duże szanse na wygraną, w końcu tak ciężko trenowałaś. Byliście jednak rozkojarzeni i zdenerwowani, bo była taka możliwość, że nie zdążycie na rejestrację zawodników. Twój trener za mocno przycisnął gaz, zagapił się i nie zauważył, kiedy z jednego z dojazdów wyjechał samochód i... Uderzył w was... Lileńko... Nikt nie przeżył... Za wyjątkiem ciebie... A ty... Ty byłaś dwa miesiące w śpiączce... Masz sparaliżowane ręce i...nogi. - w tym momencie spojrzała na mnie i nie wytrzymała. Ukryła twarz w dłoniach, a przez jej ciałem zaczął szarpać spazmatyczny szloch. Patrzyłam na nią i nie mogłam zrozumieć. Sparaliżowana? Ja? Niemożliwe... Ja jestem sportsmenką, ja biegam, ja trenuję! To jakiś żart!

Spojrzałam jeszcze raz w dół i zobaczyłam chude, sine ręce ułożone równo na białej kołdrze. Ręce bez życia. Te same, które drżały mi na starcie, ale utrzymywały ciało w blokach. A moje smukłe, silne nogi? Nie chciałam zajrzeć pod kołdrę. Bałam się.

Z przerażenia zakręciło mi się w głowie. Świat wirował, a ja chciałam krzyczeć i szarpać się, ale moje ciało krępowało moje pragnienia. Poczułam, że brakuje mi tlenu, sala szpitalna nagle zmaląła, a jej ściany zaczęły mnie przygniatać. Chciałam uciec, ale przecież nie mogłam ruszyć z miejsca. Ani dzisiaj, ani jutro...

Aleksandra Stybor kl. III gim

Wyróżnienia - proza

Galaktyczne mity

Kiedys nie było nic! Tylko jakieś czarne, czy żółte obłoki. Unosiły się tam i z powrotem, tam i z powrotem, tam i z powrotem. A jednak oprócz tych obłoków powinno coś jeszcze być?! No więc nasz Bóg miał takie samo zdanie na ten temat, dlatego też zawołał swoich wcześniej stworzonych aniołów oraz istotę ze swoją machiną czasu. Boska machina lekko zaczęła spadać z góry, bo skąd mogłaby spaść jak nie z góry!? W środku było bardzo duszno, i gdy tylko opadła, wrota otworzyły się i aniołowie ustawili się w dwuszeregu przed Stwórcą. Pan przyjrzał im się uważnie. Nagle z maszyny wysunął się jeszcze jeden mały, zielony stworek. Bóg zauważył stworka. Nie znał go, więc zapytał, skąd się wziął. Po chwili Pan przypomniał sobie, że stworzył kiedyś ludka architekta. Ten położył na chmurach wielką płachtę przypominającą mapę. Aniołowie pochyliли się nad planem, a Bóg nie mógł z żadnej strony dostać się do tej mapy, jednak wierzył, że jego stworzenie dobrze zaprojektowało wszechświat. Rozpoczęły się prace. Wszyscy budowali, tworzyli przez trzy dni (oczywiście pod nadzorem i z pomocą Boga). Potem jeden dzień odpoczywali. Następnie Bóg chciał obejrzeć świat jaki powstał. Na początku skakał po gwiazdach, potem doszedł do pierwszego stworzonego Układu Słonecznego. Zauważył dziwną gwiazdę świecącą do połowy, a od połowy pograżoną w ciemnościach. Bóg pomyślał, że coś jest źle wykonane skoro połowa układu ma światło, a druga nie. Zawołał architekta, ale ten wzdrynął ramionami i nie przejął się uwagami Stwórcy. Pan Bóg rozkazał mu, aby cała gwiazda rozbłysła pełnym blaskiem, ale architekt sprzeciwił się i nie wykonał zadania. Wszechmocny wygonił złego architekta, nazywając go złym stworzeniem i postanowił sam naprawić ten błąd. Wziął mniejszą gwiazdę i rzucił ją w tą niedoskonałą. Powtarzał to wielokrotnie, aż gwiazda wybuchła. Rozległ się wielki huk i pojawiły się ogromne chmury dymu. Po jakimś czasie wyłoniło się z nich lśniące słońce.

I właśnie tak powstał Układ Słoneczny, dzięki aniołom, Bogu i bardzo dużej gwiazdzie.

Paweł Grott kl.3

Przygoda Mateusza

Cześć, mam na imię Mateusz. Jestem już dorosły. Kupiłem sobie sterowiec. Dostarczyli go na lotnisko, więc jak najszybciej przybyłem, żeby go odebrać. Szybko do niego wsiadłem, odpaliłem i wyruszyłem w podróż.

Leciałem wiele dni i wiele nocy, aż w końcu zobaczyłem wyspę. Okazało się, że ta wyspa to laboratorium dla najlepszych naukowców. Wskoczyłem ze sterowca i zacząłem zwiedzać. Ku mojemu zdziwieniu nie było tam żadnych naukowców. Oczywiście poza mną. Okazało się, że wszyscy odlecieli do jakichś ważnych zadań. Wszedłem do środka. Ujrzałem długi korytarz. Wzdłuż niego było wiele drzwi prowadzących do wielu pomieszczeń. Laboratorium miało chyba z dziesięć pięter. Zajrzałem do jednej Sali. Były tam szafki z mnóstwem szuflad. W szufladach była masa trybików, śrubek, gwoździ, wihajstrów i innych elementów. Następna sala była pełna płynów, proszków i najróżniejszych mikstur. Prawie na samym końcu korytarza zobaczyłem metalowe drzwi przypominające wejście do garażu. Obok znajdował się zielony guzik. Spróbowałem delikatnie go nacisnąć. Nic... Poszedłem do sali z częściami, odszukałem łom i podważyłem drzwi. Podniosły się powoli z okropnym skrzypieniem. Zobaczyłem, że w środku stoi stary wrak samochodu. Pobiegłem po potrzebne części. Zaczęłem go naprawiać. (...) Na końcu wstawiłem silnik czasu. No tak, ale przecież bez paliwa auto nie ruszy... Poszedłem do sali z chemią i zacząłem się rozglądać. Zaczęłem mieszać najróżniejsze proszki i płyny. Paliwo było już prawie gotowe, ale miałem wrażenie, że czegoś w nim brak. Eureka! Zobaczyłem w kącie słoiczek z jasnyniebieskim płynem. Podniosłem go i spojrzałem na etykietkę – „PŁYN CZASU”. Szybko dolałem kilka kropel do mojej mieszanki. Paliwo było gotowe. Wróciłem do warsztatu i wlałem moją miksturę do baku.

- O nie! – westchnąłem – Chyba będę musiał sam wypróbować moją maszynę czasu.

- O nie! – usłyszałem gdzieś nad głową – Chyba będę musiał sam wypróbować moją maszynę czasu.

Spojrzałem w górę i ujrzałem dużą klatkę, a w niej kolorową papugę. Wtedy wpadłem na genialny pomysł. To papuga przetestuje wehikuł czasu! Wstawiłem klatkę z ptakiem do kabiny. Ustawiłem odpowiednią datę i uruchomiłem silnik. Auto wystartowało jak torpeda. Podmuch wiatru zwałił mnie z nóg. Po jakimś czasie samochód wrócił. Tym razem trzymałem się mocno. Otworzyłemabinę. Papuga miała się dobrze. Przetawiałem klatkę na siedzenie pasażera. Wziąłem ogromny zapas paliwa, żeby nie utknąć w czasie, wsiadłem, dodałem gazu i razem z moją skrzydlatą towarzyszką wyruszyłem we wspólną podróż...

Mateusz Tomczyk kl. 3

Legenda o powstaniu Szkoły Podstawowej Nr 8 im. Przyjaciół Ziemi w Gdańsku

Dawno, dawno temu... a może nie tak dawno, bo dokładnie 21 lat temu, pewnego słonecznego dnia, na jednym z podwórek na ulicy Dragana w Gdańsku bawiły się Julia i Aurelia. Od rana biegały, grały w gumę, krzyczały i śmiały się. Jednak po jakimś czasie zmęczone kucnęły i zaczęły rysować na chodniku piękne rysunki. Przedstawiały one osiedlowe budynki oraz wymarzoną, nową szkołę, do której chciały pójść po wakacjach. Czas upływał dziewczynkom bardzo miło i przyjemnie. Rysunki były coraz większe, piękniejsze i barwne. Jednak nagle słońce zaczęło zachodzić, niebo pociemniało, a księżyc świecił niesłychanie piękną barwą w morzu gwiazd.

Zmęczone całodzienną zabawą, nie mając już siły na nic, udały się do domu, ponieważ rodzice zapewne zaczęły się o nie niepokoić. Po szybkiej, wieczornej toalecie ułożyły się w swoich łóżeczkach i od razu usnęły. Noc była jakby magiczna. Na ciemnym niebie z gwiazd układały się rysunki i szkice. Były dokładnie takie same, jakie namalowały wcześniej na chodniku. Po chwili ciemne chmury zasłoniły ten cudowny widok, zaczął padać deszcz, a pioruny uderzały w namalowaną na chodniku ilustrację. W tym czasie Julia miała cudowny sen o swojej nowej i pięknej szkole. Przez sen szeptała tylko „chcę, chodzić do takiej szkoły, jaką sobie wymarzyłam”.

Po tej niezwyklej nocy dziewczynki zjadły śniadanie i wyszły na dwór. W miejscu gdzie dzień wcześniej tworzyły rysunki ich oczom ukazała się prawdziwa, piękna i duża szkoła. Wiedziały, że to czary. Bo niemożliwe było, aby podczas kilkunastu godzin powstał tak piękny, zapierający dech w piersiach budynek.

Po wakacjach dziewczynki wraz ze swoimi koleżankami i kolegami rozpoczęły naukę w najwspanialszej i najbardziej przyjaznej dzieciom szkole, która, tak na marginesie, do dzisiaj w ogóle się nie zmieniła.

Julia Sykus kl.4

Pod ojczystym niebem

Szósta trzydzieści. Śniąc o rzeczach kompletne niemożliwych powoli podnoszę ociężałe powieki. Jak zwykle jestem obrażona na cały świat, bo moje nocne urojenia nigdy nie wkroczą w realne życie. W stanie lekkiego przebudzenia czołgam się do telefonu i włączam 10 minutową drzemkę. Chcę jeszcze chwileczkę poleżeć i pomarzyć. O czym? O wszystkim. Sny są genialne. W nich nic nie potrzebujesz, a na niebie zawsze widnieje kolorowa tęcza, śpiewają ptaki i słońce swoimi promykami delikatnie muska i łaskocze cię po policzkach. Tam nie ma żadnych problemów. Nie martwisz się o to, co pomyślą inni. Nie przejmujesz się tym, że twoi rodzice niszczą ci każdy dzień kłócąc się z tobą i czepiając o wszystko. Sny są niespełnionymi marzeniami o lepszym jutrze, o miłości, o dążeniu do nigdy nieosiągalnej perfekcji. To wytwór twojej chorej wyobraźni, która jeszcze bardziej komplikuje ci życie. Czasami naprawdę chciałabym ją wyłączyć.

Ze wszystkich sił próbuję wyświetlić dalszą część mojego wymyślanego życia. Jak zwykle nie udaję mi się tego zrobić. Znowu słyszę budzik. Lekko poirytowana wstaję. Składam pościel. Potykając się o różne dziwne rzeczy usiłuję znaleźć moje kaptcie, które tradycyjnie znikają w nieznanym okolicznościach(...) Pomimo tego, że wstałam, to mój umysł nie jest jeszcze ze mną. Z trudem przełączam mózg z opcji życia w snach na rzeczywistość. Podchodzę do szafy po jakieś ciuchy. Biorę byle co i idę do łazienki. Po drodze mijam taką ogromnie zafascynowaną treścią jakiejś gazety. Pewnie coś o polityce.

Po 20 minutach wychodzę z łazienki. Trochę bardziej przypominam człowieka niż przedtem. Mój brzuch burczy głośniejsz od telewizora w kuchni, który ktoś zdążył już włączyć. Odczuwając ogromny poranny głód rozpoczynam głębokie rozmyślanie na temat, co zjeść na śniadanie. Jak zwykle kończy się to na tostach z ogromną porcją sera, szynki i keczupu oraz herbatą. Mizerne plany przejścia na dietę znowu diabli wzięli.

Jem szybko, biorę kurtkę, słuchawki oraz plecak i w ogromnym pośpiechu wybiegam z domu, żeby zdążyć na autobus, który i tak odjedzie mi przed oczami. Włączam w odtwarzaczu ulubioną piosenkę Red Hot'ów i wszystko przestaje mieć nagle znaczenie. Jestem tylko ja i muzyka, która napędza mnie do życia. Sprawia, że zły humor natychmiast znika. Nie ważne, co sądzą inni widząc wariatkę ze słuchawkami na głowie, która zaczyna tańczyć na chodniku i śpiewać to, co właśnie słyszy w piosence. (...) Jestem odurzona. Najmocniejszym i najbardziej uzależniającym środkiem na rynku, a mianowicie muzyką. Ona wywołuje u mnie stan szalonej radości i kompletnie wyłącza umysł. Dookoła mnie unoszą się słowa piosenki, wirują razem ze mną. To coś niesamowitego. Polecam to uczucie.

Do szkoły docieram na ostatnią chwilę, zbiegam po schodach do szatni. Widzę moją najlepszą przyjaciółkę, która zupełnie przypadkiem ubrała się tak samo jak ja. (...) Jest dla mnie jak siostra, to moja bratnia dusza. Zawsze trzymamy się razem, mimo że kłótnie są najczęstszą formą rozmowy. Siadamy na

połamanych ławkach i czekamy na resztę naszej paczki. Należą do niej jeszcze 3 moje przyjaciółki. Każda jest inna i bardzo wyjątkowa. (...) Bardzo się cieszę, że je mam, bo przyjaźń jest czymś niezwykłym. To taka niewidzialna nić, która oplata się wokół konkretnych osób. Trzyma je razem i nie pozwala, by którąkolwiek spotkało coś złego. Moim zdaniem to coś magicznego, bez czego nie można normalnie funkcjonować. Jest jak powietrze- niezbędne do przetrwania.

Dzień mija szybko. Wracam do domu powoli, nie spiesząc się nigdzie. Po drodze spotykam ludzi, których dokładnie obserwuję. Ich szare twarze są poważne, beztroskie, nie ukazują żadnych emocji. Mam wrażenie, że mają na sobie maski. Patrzą tępym wzrokiem, bez wyrazu, bez niczego. Ci ludzie są tak ogarnięci szarą rzeczywistością, pracą, pieniędzmi, że nie mają miejsca na uczucia. Jak to jest możliwe? Mówi się, że twarz opisuje człowieka i widać na niej wszystko, a tu nie widzę nic, kompletnie nic. Nie daje mi to spokoju. Po powrocie do domu robię kilka nieistotnych rzeczy, po czym za oknem zapada zmrok. Kolejny bezseny wieczór, kolejne myśli nawiedzające i niedające spokoju. Kolejne błagania o lepsze. Kolejne setki niespełnionych marzeń. Kolejne snucie planów o miłości. Kolejne. Kolejne. Kolejne. Dobranoc.

Zasypiam. Śni mi się znowu urojony film o życiu, w którym gram główną rolę. Te chorobliwie słodkie zdarzenia, obrzydliwie cudowne, poukładane dialogi. Znowu wpadam w pułapkę. Nie mogę się wydostać z własnej wyobraźni. Dławię się nią. Moje płuca są przepelnione wiecznym szaleństwem.

Utonęłam w niej.

Utonęłam w wyobraźni.

Byle do rana.

Urszula Muraszko-Kuźma kl.III gim

Wyklęci

Śnieg, martwy puch okrywający świat, chrzęszczący pod podeszwami butów. (...) Powoli zapadał zmrok. Ogarniała mnie wroga i nieprzyjemna cisza. Byłem w lesie, stałem pośrodku ośnieżonej polany i czekałem. Ale na co? -Sam nie wiedziałem. Zresztą to nieistotne. Liczą się tylko cisza i śnieg. (...) Świat na chwilę się zatrzymał, utonął w ciszy i w płatkach śniegu.

Zaczął wiać wiatr, najpierw lekko, lecz wciąż przybierał na sile. Śnieg zaczął wirować, coraz szybciej i szybciej. W powietrzu rozszedł się zapach jakby krwi i popiołu. Powoli z zamieci poczęły wynurzać się twarze, straszliwe maski wykrzywione bólem. Twarze wyrte w moim sercu, twarze moich bliskich. Nagle wiatr ucichł, a tumany śniegu opadły. Krew stężała mi w żyłach. Stałem pośród martwych zgliszczy mojego domu. Gdzieś tam żarzyły się jeszcze nadtrawione przez płomień resztki powały, a z dziur w sklepieniu do chaty przenikał chłodny blask księżycy. Opadłem na kolana wzbijając tumany popiołu.

Płakałem, płakałem nad sobą, nad swoją bezsilnością, płakałem nad swoim podłym losem, płakałem nad swymi bliskimi. Niebo też płakało, krwawe strugi deszczu poczęły spływać po mojej twarzy i wymywać łzy. Świat rozbłyskał raz za razem. Przez niebo przetaczał się grom. Oczyszczający deszcz obmywał świat z grozy minionej wojny. Z bólu i strachu.

Nagle po plecach przebiegł mi dreszcz. Ktoś na mnie patrzył. Wstałem i obróciłem się powoli. W wejściu do chaty stała mała dziewczynka (...). Stała i przyglądała mi się wyczekująco. Nagle coś we mnie pękło. Uleciały ze mnie rozpacz i gniew po stracie bliskich, pozostała jedynie jakaś dziwna pewność, że moje życie ma jeszcze jakiś cel, że ma sens. Podszedłem do dziewczynki. Ona w odpowiedzi uśmiechnęła się smutno i wyciągnęła do mnie dłoń (...).

Obudził mnie zapach świeżo parzonej kawy. Niemrawo otworzyłem oczy i rozejrzałem się wokoło. Leżałem pośrodku jakiegoś leśnego obozowiska pełnego obszarpanych ludzi. Dopiero po chwili wróciły do mnie wspomnienia z ostatnich kilku miesięcy. Ten obóz był moim nowym domem, a ci ludzie przygarnęli mnie. (...) Byłem jednym z nich, żołnierzem wyklętym przez wrogów i swój własny naród.

- O! Nasz śpioch się obudził. - zakrzyknął wesoło Wilczarz - niedawno przysłano rozkazy. Generał poszedł odprowadzić łączniczkę, pewnie znów prosi o dodatkowy przydział broni. Rzeczywiście Generała nigdzie nie było widać, w obozie oprócz mnie i Wilczarza był tylko Szerszeń i Malina.

- Jak już wstałeś, to może ugotujesz nam coś na śniadanie? - zakrzyknął Malina - Wilczarz raczej nie należy do osób szczególnie uzdolnionych w tym kierunku. Szerszeń, pamiętasz jego słynną ogórkową? - zapytał rozbawiony.

-Tę breję, fuj. Takie rzeczy pamięta się do końca życia, a ich smak w szczególności.- odrzekł Szerszeń.- Malina upolował rano królika , może ugotujesz nam jakiś gulasz?.

-Oczywiście, przecież nie pozwolę, żeby tyle jedzenia się zmarnowało – odpowiedziałem z ironią.

Wilczarz uśmiechnął się tylko na to , nalał sobie kawy i rozłożył się z błogim wyrazem twarzy pod drzewem.

Pokroiłem warzywa przysłane wczoraj ze wsi, oskórowałem oraz pokroiłem królika i już po chwili w garnku bulgotał smakowicie gulasz.

-O, Generał idzie, minę ma jakąś niewesołą.- zauważył Wilczarz.

-Raczej nie zanoszą się na nic dobrego – powiedział z troską w głosie Malina.

-Widzę, że śniadanie już gotowe, będzie nam potrzebne. - stwierdził Generał ze zmęczeniem w głosie- Przyszły rozkazy z góry , wyruszamy na akcję , szczegółów dowiemy się na miejscu zbiórki.-Jedźcie, za chwilę wymarsz.

Słońce wzeszło i zaczęło opadać, a my pokonywaliśmy kilometr za kilometrem. Las był piękny , zielony i pełen życia, jakby próbował zaprzeczyć koszmarowi wojny. (...) Maszerowaliśmy aż do zmierzchu. Chwilę później odnaleźliśmy miejsce zbiórki. Była to kotlinka ukryta tak dobrze, że bez Generała nigdy byśmy jej nie znaleźli. W kotlinie czekał na nas nasz nowy oddział, ponad 30 ludzi wygrzewało się przy ogniskach rozsiansych to tu, to tam.

- Ta „akcja” nie wygląda na tak małą jak sądziłem- mruknął zasępiiony Generał - Rozłóżcie obóz, idę wypytać, jakie mamy dalsze rozkazy. Jak już skończycie, najlepiej się zdrzemnijcie, nie wiem kiedy wrócę.

Nie zastanawiając się długo, rozłożyliśmy obóz i za radą Generała poszliśmy spać.(...) Śniły mi się twarze osób, których już nie ma , przyjaciół z dzieciństwa , rodziców, nawet miejscowego piekarza. Wszyscy odeszli. Obudziłem się tuż przed świtem, wszyscy moi towarzysze jeszcze spali. Czułem się jakby pusty. Gniew który napędzał mnie od miesięcy , uleciał. Słońce poczęło się wolno wyłaniać zza drzew, załało świat swym krwistym blaskiem. Dokąd ja dążę? Tak jak to słońce zataczam kręgi po nieboskłonie. Czemu biegnę ? Moje rozmyślenia przerwał Szerszeń , oznajmiając głośnymi wrzaskami całemu światu swoje przebudzenie .

-Moje nogi! Nóg nie czuję , gdzie są moje nogi ?! - wrzeszczał przerażony.

-Uspokój się ! Nogi masz na swoim miejscu!

- To było straszne ! Bolszewicy odrąbali mi nogi ! Nie wyobrażasz sobie jak to bolało!- na nowo rozwrzeszczał się Szerszeń.

- Szerszeń, uspokój się na rany Boskie, pobudziłeś wszystkich ! - ryknął na niego Generał - Dobrze, jak już raczyłeś nas obudzić, to zrób śniadanie, reszta składa obóz. O dziesiątej zarządzone wymarsz.

Ale gdzie ? - wybełkotał jeszcze zaspany Malina.

- Mamy zaatakować konwój bolszewików transportujący amunicję do Krakowa.(...)

Zabraliśmy się z Wilczarem i Maliną za składanie obozowiska. Zwinęliśmy pościela, zasypaliśmy ogień oraz ukryliśmy zbędny sprzęt. Następnie w ciszy zjedliśmy śniadanie. Po śniadaniu ruszyliśmy w las tyralierą. Po jakichś dziesięciu minutach byliśmy na miejscu. Droga jakich wiele, gruntowa, na tyle szeroka, że z trudem dwa wozy się wyminą. Las otaczał ją szczelnym kokonem z jednej, jak i z drugiej strony.

- I jak wam się to widzi? - zagadnął Wilczarz, siadając pod drzewem.

-Cóż, my mamy tylko pilnować tyłów – burknąłem pod nosem – czerwonych nawet nie zobaczymy.

-Cisza - powiedział Generał – jeszcze nas usłyszą. Zając pozycje. Niespiesznie rozłożyliśmy się na mchu i przykryliśmy opadłymi gałęziami. Czas mijał niemiłosiernie wolno. Czekaliśmy długo i wytrwale , ale w końcu jest ! Gdzieś w oddali rozlega się warkot silnika, z każdą chwilą coraz głośniejszy i głośniejszy. Nareszcie! Zza zakrętu wyłoniła się stara ciężarówka z symbolem czerwonej gwiazdy na boku. Generał zaczął się wiercić zdenerwowany.

- Coś jest nie tak...- nie dokończył zdania , kula roztrzaskała mu skroń zalewając moją twarz posoką.

Nagle poczułem ukłucie zimna, spojrzałem w dół. Na mojej piersi wykwitła purpurowa plama. Ogarnął mnie chłód , przeraźliwy ziąb. Świat ucichł. Nie czułem bólu, nie bałem się, chciałem tylko wiedzieć, co poszło nie tak. Nie słyszałem już wystrzałów. Świat stał się szary niczym chłodny popiół. Rozejrzałem się. Malina i Wilczarz konali, a Szerszeń opierał się o pień drzewa i próbował zatamować krew wypływającą z przebitego gardła. Spojrzałem w stronę ciężarówki stojącej w poprzek drogi. Była pusta. Obróciłem się. Za moimi plecami trwała walka . Moi niedoszli towarzysze walczyli z oddziałem NKWD, który zaszedł nas od tyłu. Umierali, jeden po drugim. Nagle świat rozbłysł i zatrzymał się.

Pomiędzy drzewami kroczyła dziewczynka w białej sukience , płakała. Szła w moją stronę, bez słowa mijając walczących . Podeszła do mnie i otarła łzy.

- Widzisz, do czego doprowadza gniew? -zapytała pochlipując- Gniew nigdy nie jest właściwą drogą , zawsze sprawia komuś ból.

- Kim ty właściwie jesteś?– wycharczałem.

Jestem twoim Stróżem-wychlipała cichutko- Nie pamiętasz mnie ? To ja pomagałam ci powstać po upadkach, to ja cię podtrzymywałam na duchu.- wychlipała- Pomogłam ci znaleźć sens, pamiętasz? - Wtedy przypomniał mi się ten koszmar , ruiny mojego domu , deszcz i dziewczynkę w białej sukience.

-Jeżeli jesteś moim aniołem, to czemu nie pomogłaś mi ich uratować! Umarli , wszyscy umarli , bo zachciało mi się bawić w patriotę ! Czemu mi na to pozwoliłaś! Wszyscy zginęli!- wykrzyczałam.

- Proszę, nie krzycz na mnie. Nie mogłam ich uratować. Nie znam przyszłości , mogę jedynie cichutko szeptać - wychlipała smutno.

-Tak, znam twoje rady , kazałaś mi pomagać tym żołnierzom, przez co cała moja rodzina nie żyje, a ci żołnierze właśnie umierają. Na co zdała by im się ta pomoc, umarliby wcześniej lub później. - powiedziałem z goryczą.

-Oddaliście życie za ojczyznę . Może nie udało się wam jej oswobodzić, ale daliście nadzieję, pozostaniecie na wieki w sercach i umysłach ludzi. Kiedyś Polska będzie wolna i to dzięki wam . Polacy przypomną sobie ofiarę, jaką złożyli żołnierze wyklęci, przypomną sobie ciebie , człowieka, który dla ojczyzny oddał wszystko. Nabiorą ducha , przypomną sobie ludzi niezłomnych , którzy wyrzekli się wszystkiego, by ratować ojczyznę.(...) Polska narodzi się na nowo i będzie trwać dopóki ostatni sprawiedliwy będzie gotów oddać za nią życie.

Spojrzałem na pole walki, które malowało mi się przed oczami. Widziałem ludzi, którzy bez cienia lęku oddają ducha. Widziałem wielkie bohaterstwo i poświęcenie , widziałem ludzi, którzy oddają życie za ojczyznę.

-Jesteś gotowy ?- zapytała dziewczynka i wyciągnęła do mnie dłonie.

- Jak nigdy wcześniej – uśmiechnąłem się lekko i chwyciłem dłonie dziewczynki.

- Chodź, to jeszcze nie koniec, to dopiero początek.

Sebastian Pieper kl.III gim

Nagrody dodatkowe - proza

Pod ojczystym niebem

Czekaliśmy na naszą wychowawczynię przed szkołą. Jak co roku wybieraliśmy się z klasą na pobliski cmentarz wojskowy. Nie byliśmy tym zbyt zachwyceni, ponieważ było strasznie zimno i padał śnieg. Staraliśmy się nawet przełożyć wyjście, niestety nasza wychowawczyni była nieugięta i nie należała do osób, z którymi się dyskutuje. Dlatego staliśmy i marzliśmy, czekając na nią. Było wcześniej, około jedenastej. Pojedyncze promienie słońca wychodziły zza chmur i oślepiały nas, odbijając się od śniegu.

W końcu pani Asia wyszła ze szkoły, sprawdziła obecność i ruszyliśmy. Szliśmy szybkim tempem, by zdążyć wrócić na dwunastą. Podczas marszu chłopcy zaczęli w nas rzucać śnieżkami. Piszczaliśmy i krzyżaliśmy, żeby przestali, ale nie zważali na nasze protesty, rzucali jeszcze więcej śnieżek. W końcu nie wytrzymałyśmy i podbiegłyśmy do naszej nauczycielki.

– Czy mogłaby pani powiedzieć coś chłopcom? Prosimy!

– Chłopcy, mam wam powiedzieć: coś – powiedziała z uśmiechem. Oto cała nasza wychowawczyni. Wszystko traktowała dosłownie. Często wychodziło z tego coś zabawnego, jednak tym razem nie byliśmy zadowoleni z jej „żartu”. Staliśmy już wszyscy przed bramą cmentarza, czekając, bo pani Asia wyraźnie chciała coś powiedzieć.

– Poproszę was wszystkich, abyście zachowywali się przyzwoicie, zwracam się szczególnie do was, chłopcy. Jesteśmy na cmentarzu. Basiu, masz znicze?

– Tak, proszę pani.

– Doskonale. Idziemy.

Szliśmy główną alejką, która była strasznie zaśnieżona, więc puściliśmy naprzód chłopców, żeby torowali nam drogę. Gdy doszliśmy do większego pomnika poświęconemu poległym pocztowcom, Basia dała znicze Markowi, który zgłosił się do zapalania. Postawiliśmy trzy tuż przy płycie nagrobkowej i odmówiliśmy krótką modlitwę. Pani dała nam chwilę, abyśmy zdecydowali, gdzie jeszcze chcemy zapalić znicze. Chodziliśmy po cmentarzu, szukając odpowiedniego miejsca. Zaczęliśmy rozmawiać o tym, po co tutaj przychodzimy. Przecież my nawet nie znaliśmy tych ludzi, ich nazwiska nic nam nie mówią.

– I jak, zdecydowaliście, gdzie stawiamy znicze?

– Nie. W zasadzie rozmawialiśmy o tym, dlaczego tutaj przychodzimy? – Odezwał się Radek.

– Jak to po co? – Nauczycielka spojrzała na nas zdziwiona.

– To nie są nasi krewni, nie znaleźliśmy tych ludzi, a ich nazwiska kompletnie nic nam nie mówią – powiedziała Ania.

– Ale co to ma do rzeczy? Przecież oni zginęli na wojnie, by wam teraz żyło się lepiej. Nie patrzyli na to, czy was znają, czy nie, oddali życie za ojczyznę.

Wszyscy patrzyli na panią Asię zaszokowani. Owszem, wiedzieliśmy, że była wojna, że miliony ludzi zginęły, ale dopiero teraz w pewien sposób to do nas dotarło. Nikt się nie odezwał. Każdy chyba musiał to przemyśleć. Oglądaliśmy groby dookoła nas, napisy głosiły: „zamordowany w Stutthofie” bądź „rozstrzelany w Stutthofie”. Groza tych napisów dotarła do nas i każdy zadygotał, bynajmniej nie z zimna. Dotarł do nas jeszcze jeden fakt, przed chwilą narzekałyśmy, że było nam zimno, mimo że miałyśmy na sobie ciepłe ubrania. Narzekałyśmy również na to, że chłopcy rzucali w nas śnieżkami, a przecież to nie było nic złego w porównaniu z tym, co działo się podczas wojny. Mamy co jeść, możemy się uczyć, cieszyć życiem, a przede wszystkim jesteśmy wolni. Oni zginęli bez powodu lub za coś – czego my czasem nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Czego pewnie nigdy nie zrozumiemy. Tylko wiedza, którą mieliśmy z lekcji historii bądź od dziadków, obdarowującymi nas ciekawymi opowiastkami, jak to było za ich czasów...

– Wiem, że wiedzieliście, że wojna była straszna i pochłonęła miliony ludzkich istnień. Tylko nie o to w tym chodzi. Tu chodzi o chociażby częściowe zrozumienie. Narzekacie, w jakich czasach żyjecie, a wiecie, że było o stokroć gorzej. Chyba dopiero teraz to do was dociera, prawda? – Odezwała się dotychczas milcząca pani Asia.

Wszyscy cichutko przytaknęli. Byliśmy tak poruszeni, że zapaliliśmy szybko ostatnie znicze i udaliśmy się z powrotem do szkoły. Przez całą drogę nikt się nie odzywał, pochłonięty własnymi myślami o tym, jak nam dobrze, że żyjemy w tych, a nie innych czasach. Byliśmy pełni podziwu dla ludzi, którzy potrafili poświęcić życie za ojczyznę. Bardzo mało jest teraz takich ludzi, można by nawet rzec, że ich nie ma. Wiele dzieci straciło też swoich rodziców, dziadków. Widzieli ich śmierć, a to musiało być dla nich okropne przeżycie. Nie mogli się uczyć w normalnej, polskiej szkole, a my nie chcemy nauczyć się do jednego czy dwóch sprawdzianów. Smutne, że przez większość swojego jeszcze krótkiego życia słuchamy o tym wszystkim, a tak naprawdę nie rozumiemy. Przeraza też nas perspektywa, że to mogliśmy być my. Przecież tamci ludzie nie mieli wyboru, po prostu walczyli o kraj, w którym teraz żyjemy. Albo byli mordowani bez powodu.

Przez nasze zamyślenie nikt nie zauważył, że doszliśmy już do szkoły. Przed wejściem pani Asia jeszcze raz nas zebrała i policzyła.

– Może jednak dobrze, że dziś tam poszliśmy, jak myślicie?

– Ma pani rację, dobrze, że dzisiaj tam poszliśmy – powiedziała ledwie słyszalnie Wiktoria.

Wchodziliśmy do szkoły pogrążeni w myślach. Na pewno zapamiętamy to wyjście na bardzo długo, może nawet na zawsze...

Agata Drost kl. III Gim

Pod ojczystym niebem- refleksje na temat ojczyzny

Ojczyzna, według Encyklopedii Powszechnej, jest to: „obszar, z którym człowiek czuje się związany emocjonalnie (i z którego najczęściej się wywodzi); ojczyzna ideologiczna (obszar zamieszkiwany przez naród), ojczyzna mała (obszar najbliższy jednostce)”. Po przeczytaniu tej krótkiej notatki nasuwa się dość oczywista myśl: przecież każdy z nas ma indywidualne podejście do ojczyzny, każdy żywi do niej inne uczucia. Niekiedy dominują skrajne emocje, jak na przykład fanatyczny patriotyzm lub też nienawiść, jednak tylu ilu jest Polaków, tyle jest opinii na temat Polski. Inaczej naszą Ojczyznę będzie postrzegał weteran II wojny światowej, a inaczej osoba w moim wieku (czternaście lat). W swojej pracy chciałbym skupić się na różnych aspektach, które wpływają na moje postrzeganie Ojczyzny, chciałbym przybliżyć problem braku zainteresowania młodzieży historią naszego państwa. Przytoczę również wady i zalety Polski, z którymi zdążyłem się zetknąć w ciągu swojego, jak na razie, krótkiego życia.

Moja Ojczyzna- Polska. Myśląc o Niej mam wiele sprzecznych myśli. Wciąż nie potrafię określić, czy kocham państwo, w którym żyję, czy też podchodzę do niego z rezerwą. Podejrzewam, że wielu ludzi zmaga się z podobnym problemem. Postanowiłem dłużej się nad tym zastanowić, zestawić ze sobą plusy i minusy, poskładać natłok myśli w całość. I oto: bingo! Może zacznę od początku.

Pierwsza myśl, jaka zagościła w mojej głowie, dotyczyła naszej bogatej historii. I to jak bogatej! Otworzyłem zeszyt do historii, przyznam szczerze, że się zdziwiłem. Ogrom faktów, na które wcześniej nie zwracałem szczególnej uwagi, trochę mnie przytłoczył. Doszedłem do wniosku, że jesteśmy wyjątkowo walecznym narodem, a nasza historia jest powodem do dumy. Oczywiście zdarzały się w historii naszego państwa epizody, które nie są godne pochwały, jednak na tle tych pozytywnych zdarzeń wypadają błado. Polacy od wieków walczą ramię w ramię. Kiedy nadchodzi zagrożenie, nawet wrogowie stają razem do walki, wszelkie spory zanikają, liczy się tylko obrona Ojczyzny. Nasi przodkowie dowiedli nam, że nie mają sobie równych. W szczególności udowodnili to walcząc o niepodległość (choć nie jest to jedyny powód dumy, to jednak mający szczególne znaczenie w naszej historii, dlatego to właśnie ten przykład został przeze mnie przytoczony). Jestem wdzięczny moim przodkom, którzy wiele poświęcili, niekiedy nawet życie, abym mógł żyć w wolnym państwie. To właśnie dzięki ich waleczności i nieprzejednanemu uporowi mogę dziś swobodnie zwiedzać poszczególne miasta Polski, mówić moim ojczystym językiem, dzięki nim mogę bez ograniczeń wyrażać swoje myśli. Są to jedynie nieliczne przykłady, jednak jakże ważne dla naszego społeczeństwa. W tym momencie nasuwa się jedno pytanie: Nasi pradiadkowie wyrwali Polskę z rąk zaborców, jednak czy my, a dokładniej nasze pokolenie, potrafimy to docenić?

Urodziłem się w tak zwanej „erze komputerów”. Mimo młodego wieku potrafię dostrzec ogromne wady, które wynikają ze skomputeryzowania społeczeństwa. Coraz mniej czasu poświęcamy na zwykłe przyjemności jak na przykład spacer z rodziną czy przyjaciółmi, większość czasu spędzamy przed komputerami czy telewizorami. Nasz światopogląd, między innymi ten o Ojczyźnie, jest kreowany przez media. Młodzież coraz mniej czasu poświęca literaturze, a to przecież książki kształtują nasz charakter. Wiele wybitnych książek powstało na emigracji, poeci z utęsknieniem pisali o Polsce. Byli bezgranicznie oddani Ojczyźnie i choć nie mogli udowodnić tego walcząc, to przelewali swe uczucia na papier. Nie mieli Ojczyzny, dlatego tak ją cenili, tak dbali o dorobek narodowy.

Nagle się przeraziłem - i to nie na żarty. Zadałem sobie jedno podstawowe pytanie: Czy dziś potrafilibyśmy stanąć do walki w obronie Ojczyzny, tak jak robili to nasi przodkowie? Podobno jesteśmy narodem, który potrafi się zjednoczyć w najtrudniejszych dla nas sytuacjach, jednak tak było kiedyś, a jak wygląda to dziś? Nie jestem do końca pewny, czy potrafimy docenić to, co mamy. Coraz częściej tylko wymagamy, niewiele dając od siebie, dlatego też odpowiedź na to pytanie jest niezmiernie trudna. Jednak ośmielę się stanąć w obronie mojego narodu, uważam, że gdyby nadszedł czas próby, potrafilibyśmy stanąć do walki tak jak robili to nasi dziadkowie i pradiadkowie- podczas II wojny światowej, obrony niepodległości, wszystkich powstań i zrywów narodowych. Mam nadzieję, że duch walki przeszedł z pokolenia na pokolenie i dziś wbrew wszystkim różnicom i przeszkodom walczylibyśmy o swoje. Przecież Polacy nigdy się poddają, walczą do końca!

Jednak wielu Polaków wstydi się swojego pochodzenia. Do tej grupy szczególnie zaliczają się Ci, którzy wyjechali za granicę. Za przykład można podać wiele znanych osób, które wstydzą się swojej polskości, zaczynając od piłkarzy, na aktorach kończąc. Również media szerzą postawę antypatriotyczną, innymi słowy: w dzisiejszych czasach wstyd być Polakiem- takie wrażenie odbieram oglądając telewizję. Tak więc, czy naprawdę musimy wstydzić się swojego pochodzenia? Otóż kiedy jedni wypierają się swojej polskości, drudzy bronią swojej narodowości. Z dumą opowiadają o Polsce- państwie, z którego pochodzą. Nasza Ojczyzna „wydała na świat” wielu wybitnych sportowców, artystów, pisarzy, aktorów czy przedsiębiorców. Są to nazwiska, które zna niemal cały świat: Wojtyła, Wałęsa, Piłsudski, Mickiewicz, Chopin, Moniuszko, Kopernik, Skłodowska- Curie, Polański, Wajda, Małysz. Stop. Trochę się zapędziłem. Jednak dorobek kulturalny naszego państwa jest niesamowicie bogaty i niestety nie da się wymieniwać tych wszystkich wspaniałych osiągnięć i osobistości.

Reasumując: jestem dumny z bycia Polakiem. Przecież każdy ma swoje wady i zalety, rzecz w tym żeby te wady zaakceptować. Dzięki tej pracy uświadomiłem sobie, że to ludzie tworzą Polskę i dopóki będziemy w stanie bronić naszej polskości, nie będziemy wstydzić się naszego pochodzenia, dopóty Polska będzie trwać. Jesteśmy narodem, który zapisał się na kartach historii jako waleczny, odważny, charyzmatyczny. Wokół Polaków narosło wiele opinii, tych negatywnych jak i pozytywnych, jednak ja skłaniam się bardziej ku tym pozytywnym. Jestem Polakiem, jestem dumny ze swojej historii, kultury, kuchni a także osiągnięć sportowych. Jestem Polakiem i nikt mi tego nie odbierze.

Jakub Florkowski kl. I gim

V Wojewódzki Konkurs Literacki *Pod ojczystym niebem*

Organizator

Zespół Kształcenia Podstawowego i Gimnazjalnego nr 21 w Gdańsku
Aleksandra Schild, Mariola Walkusz

Patronat honorowy



Prezydent Miasta Gdańska



Pomorski Kurator Oświaty

Jury

Józef Jasielski – reżyser teatralny, poeta

Krystyna Orlicz – nauczycielka edukacji wczesnoszkolnej, polonistka

Joanna Ryduchowska - Wrzałek - nauczycielka, animatorka pedagogiki C. Freineta

Opracowanie tomiku Aleksandra Schild

Okładka Monika Schild

Sponsorzy konkursu





Tort z okazji XXX-lecia Szkoły Podstawowej nr 2 wykonany przez klasy 3. Projekt Lidia Dąbrowska



Zespół Kształcenia Podstawowego i Gimnazjalnego nr 21 z klasami sportowymi

Gdańsk 2014